

WSZYSTKO O ŁÓDZKICH ŻAKACH

Kiedyś, dawno temu, poznawaliśmy ich po czapkach. Białe, bordowe — w specyficzny sposób zdeformowane. Nosili je studenci bez względu na pogodę — deszcz, skwar słoneczny, mróz. Ale czapki wyszły z mody. Pojawily się na ich miejscu naprzód ciemne, okrągłe berety, później czapki futrzane, wełniane z pomponikiem, albo w kratę, jeszcze później wąskorone kapelusiki o wszelkich możliwych kombinacjach kolorów, pstrokatych przeważnie, prawie cyrkowych.

Modzie na kapelusze i berety ulegli nie tylko studenci. Uczniowie szkół średnich i pracująca już w biurach i fabrykach młodzież uległa tak samo. I w ten to właśnie sposób, wraz ze zniknięciem białych, bordowych, w specyficzny sposób zdeformowanych czapek straciłmy możliwość rozpoznawania studentów na ulicach, w tramwajach i pociągach, zdolność wyobrażenia sobie flu ich właściwie jest. Szkoda. Żal może nie tyle samych czapek, co kolorytu jakiego przydawały ulicom. Szkoda też, że nie mogą służyć za dowód niezbity szybkiego rozrastania się akademickiego środowiska w naszym mieście. Ale cóż, moda, niestety, jak to moda, nawet ta studencka, co sezon się zmienia.

Zresztą są jeszcze ludzie, którzy potrafią rozpoznać studenta bez względu na rodzaj nakrycia głowy. Do takich należą konduktorzy linii tramwajowych biegnących ulicami Nowotki, Narutowicza lub Al. Politechniki. Do takich należą popularni panowie: Fredek i Wacek pracujący w hallu kawiarni studenckiej na Piotrkowskiej 77. Ale ci znowu odwrotnie: potrafią bezbłędnie wyczuć każdego, kto pragnie wejść do klubu, a studentem, niestety, nie jest.

To, że wspominałem adres: Piotrkowska 77 — ma swoje uzasadnienie — mieści się tu bowiem, oprócz kawiarni, w której spotkać można przedstawicieli wszystkich uczelni i wydziałów, siedziba władzy studenckiej:



Fot. W. Karski

ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH —

opiekun, obrońca i wychowawca potężnej armii naszych łódzkich żaków. Tak, z tych powodów bezwarunkowo należy zacząć od ZSP. Inaczej się nie godzi.

Wbrew temu, co wielu o Zrzeszeniu sądzi, pełni ono funkcję nie tylko Związku Zawodowego. Czasy, kiedy tak było należą już do historii. Na IV Kongresie Zrzeszenia Studentów Polskich I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka rzucił

hasło: „ZSP szkołą obywatelskiego wychowania” — i od tej pory aktyw organizacji konsekwentnie zmierza do upolitycznienia programu działalności Zrzeszenia, do wciągnięcia w orbitę tej działalności jak największej rzeszy studentów.

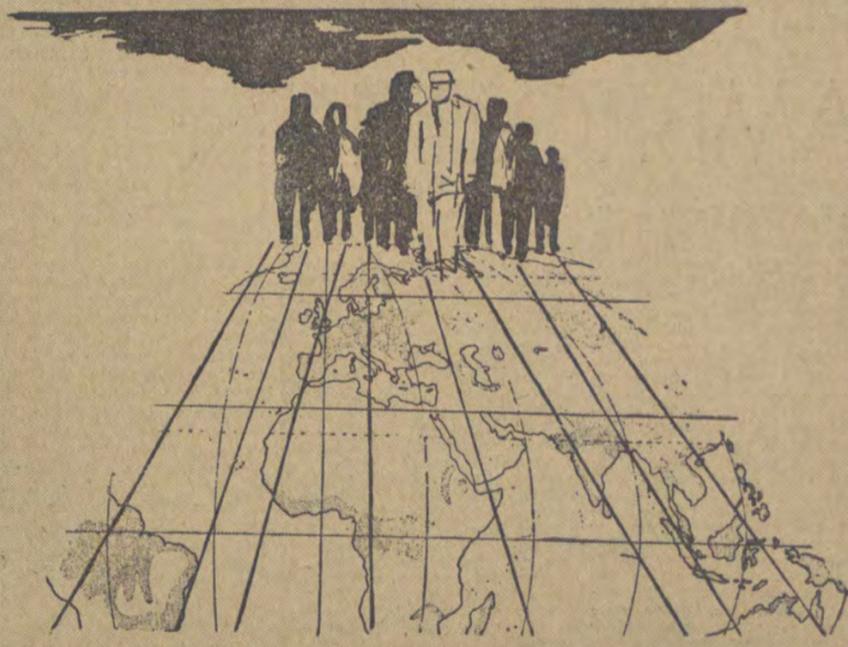
Teoretycznie około 80 proc. studiującej w Łodzi młodzieży należy do Zrze-

Dalszy ciąg
na str. 4

odgłosy



Rok VI,
Łódź, 20. X. 63.
Nr 42 (294)
Cena — 1 zł.



MARIAN ZDROJEWSKI

POWROTY

Dopiero po chwili zacząłem przysłuchiwać się prowadzonej obok rozmowie. Brzydko — to prawda. Wskaźcie mi jednak osobę, która by się oparła pokusie wysłuchania pouczającej lekcji rodzimego cwaninctwa.

Znawczyni tematu siedzi po mojej prawej ręce. Cała postać jest masywna — przypomina rysunki Francois'a. Wykład ilustrowany jest szybkimi gestami pulchnych rąk. Jej słuchaczka jest młoda dziewczyna Spod blond czupryny adeptki widać odrastające, ciemne włosy. Dziewczyna jest zaferowana.

— „no, nie dziwnego. Za pierwszym razem to zawsze nie wiadomo, moja droga, co i jak — stwierdza pouczająco dama. — Ale człowiek obrotny to sobie poradzi. Ja już będę wiedziała jak się zakreślić. Nie tak, jak mój syn. Wysiadł w Montrealu i nie wiedział co z sobą zrobić, jak by ze wsi przyjechał. A mówiłam mu, gdy wyjeżdżał: idź do Galusieńskiego — to u nas jeden taki co to nauczył się po amerykańsku... Z takiej dziury to przyjechało i, moja pani, wiedział czego się

użyć. Więc mu mówię: idź, niech ci napisze na kartce „ja chcę jechać do Quebec”. Ale to takie uparte chłopaczysko, że aż strach! Mówi, że bez kartek też trafi, a potem ile to się namartwiło... Jak tam już, proszę pani, trochę pobyl, no to moja siostra mówi: „Stasiu, u nas jest taki dom handlowy pani Gestig, idź tam, popracujesz, zarobisz trochę grosza. U nas wszyscy pracują”. Ona tak specjalnie, żeby chłopak wiedział, jak tam można szybko zarobić sporo dolarów. Może nawet chciała, żeby u niej został? Bo, widzi pani, moja siostra ma jedną córkę, ale wyjechała z mężem do Australii. Teraz sama prowadzi sklep, duży, moja pani. Na pewno chłopak nie potrzebował pracować, tylko, że tam już tak jest...

— „paczki — powiada — będę rozwoził!” To ja mu tłumaczę, że przecież żadna praca nie hańbi... A on, proszę pani, na mnie, że jak ciotka zaprosiła, to powinna mu pokazać Amerykę, a nie kazać paczki rozwozić!

— „Ja się pracy nie boję — przerwała nieśmiało panienka z blond czupryną — Mam

swój zawód, który się wszędzie przyda. A zresztą, nie wiem jeszcze czy tam zostanie. Zobaczą. Jak mi się spodoba, to dopiero powiem ciotce. Teraz nie chcę jej drażnić, bo może zapisać wszystko komu innemu. A takiej szansy żałowałabym całe życie. A może mi się poszczęści? Jak pani myśli, czy nasze rzeczy nie będą za biedne? Kupiłam sobie kilka wełnianych sukienek i jedwabne z naszego Milanówka, ale słyszałam, że tam jest modne wszystko ze sztucznego włókna.

— Niech pani nic drogiego nie zabiera. Ciotka ma doiry to niech pani na miejscu kupi. Właśnie jak mój syn wyjeżdżał, to mówiłam: Stasiu, nie bierz najlepszych garniturów. Weź jakieś spodnie, koszulki, i miał taką kurtkę, jeszcze całkiem dobrą. To mówię weź. Tam na miejscu ci wszystko ciocia kupi. Nie dość, że zabrał najlepsze, to jeszcze sprzedał magnetofon za elektryczność, aż się trzęsie — I... kupił sobie jeszcze jeden garnitur, co pani na to? Pojechał tam, moja pani, jak lord, i rzecz jasna, że nie chciał pracować. Nawet nie nie przywiózł, bo, powiada, że się z ciotką pokłócił. Siostra przez jakiś czas wcale do mnie nie pisała. Ale ja, pani, napisałam jeden list, potem drugi, wszystko opisałam co i jak, że pojechał do niej taki ubrany, bośmy posprzedawali wszystkie rzeczy, żeby moim dzieckiem nie potrzebowała się wstydzić. No i wreszcie, po dwóch latach napisała. I teraz, widzi pani, mnie zaprosiła. Ale ja już będę wiedziała jak się zakreślić, oho...

— Pani też wyjeżdża? — wtrąciła pani z przeciwnką.

— Jąde.
— Ja właśnie też mam jechać. Do Francji. Tylko nie wiem co zabrać, bo nie chcę, żeby mnie przez cały czas żywił. Brat jest robotnikiem w stoczni, to im się też nie

Dalszy ciąg
na str. 2

Dalszy ciąg
na str. 4

Kto obawia się „BRONI EKONOMICZNEJ”

W ostatnim czasie na Zachodzie ukazała się książka M. W. Broekmeijera pt. „strategiczno - gospodarcze znaczenie rozwijających się krajów NATO”, wydana w tzw. „Serii Atlantycznej”. Autor, ekonomista i wykładowca w akademiach wojskowych, przy pomocy obszernego materiału próbuje uzasadnić następującą tezę: „Decydująca walka we współczesnym świecie toczyć się będzie nie przy pomocy sił kosmicznych, zdalnie sterowanych pocisków, lecz w dziedzinie ekonomicznej...”

Poświęcając duży fragment książki krajom zacofanym, gdyż „żaden kraj, żaden sojusznik nie są w stanie przetrwać bez stałego dopływu pewnych surowców”, autor w pewnym miejscu stwierdza wręcz: Udziałamy pomocy krajom zacofanym, ponieważ potrzebujemy ich dla naszego ekonomicznego istnienia...”

Gdzie indziej zaś Broekmeijer pisze: „ZSRR zagroził nam gospodarczym współzawodnictwem i dlatego musimy wykorzystać wszystkie nasze środki w najbardziej skutecznym sposób... Niektórzy polityczni filozofowie starają się dowodzić, że zadaniem Zachodu powinno być zapewnienie największego dobra możliwie największej licz-

bie ludzi. Ich zdaniem Zachód powinien odgrywać wyłącznie rolę dobroczyńcy świata zacofanego. Jednakże naszym głównym celem politycznym jest zabezpieczenie naszej własnej egzystencji”. Wywód — trzeba przyznać — otwarty i szczerzy. Nie fakt, że z 3-miliardowej ludności kuli ziemskiej prawie 500 milionów cierpi głód, a prawie połowa nie jest do-

żywiona, nie fakt, że w Tanganice, Liberii czy Gambii dochód narodowy na głowę ludności nie przekracza 50 dolarów rocznie, podczas gdy w USA wynosi 2.000 dolarów, a w Anglii — 1.200 —

**Łodzianie
1963**

**DELFINA
AMBROZIAK**



„W Łódzkiej Operze — mówi Delfina Ambroziak — pracuję dopiero trzeci sezon. Po raz pierwszy śpiewalam w „Lakme”, byłam wtedy jeszcze studentką Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Uczennica tak znakomitego pedagoga jak profesor Orłow Delfina Ambroziak zrobiła szybko i bardzo błyskotliwą karierę artystyczną. Laureatka zeszłorocznego Międzynarodowego Konkursu Śpiewaczego w Monachium jest dziś jedną z najlepiej zapowiadających się śpiewaczek polskich.

„Miałam dużo szczęścia — mówi — rozpoczęłam pracę w operze pod kierunkiem tak świetnego muzyka jak profesor doktor Łatoszewski i tak wytrawnego reżysera jak Antoni Majak. Im bardziej widzę, że zawdzięczać, poza oczywiście profesorem Orłowem, który ciągle jeszcze nad mną pracuje, wprowadza korektury, przesłuchuje. Przed śpiewaniem operowym stoją zadania, w których rozwiązaniu w minimalnym tylko stopniu pomaga dyplom konserwatorium. Właściwa praca nad sobą, prawdziwa nauka operowej sztuki zaczyna się dopiero w czasie pracy nad pełnym opracowaniem operowych partii. Poza trudnościami, jakie stawia opanowanie samej roli, a więc trudnościami wykonawczymi, przed śpiewakiem stoją trudności innego rzędu. Publiczność jest dziś znacznie mniej wrażliwa na urok samej muzyki, albo raczej sama muzyka jej w operze nie wystarcza. Widz żąda, by opera była widowiskiem, w którym elementy muzyczne współgrają z elementami plastycznymi i inscenizacyjnymi. We współczesnym teatrze operowym śpiewak jest tylko jednym z elementów, jedną z części składowych tego widowiska. Nie wystarczy tylko śpiewać, nawet jeżeli będzie to świetne muzyczne wykonanie powierzone sobie partii. Trzeba to widowisko współtworzyć. Artysta operowy musi łączyć sztukę śpiewu ze sztuką aktorską. A to, jak wiadomo, nastrożenie najwłaściwie klonotów”.

Delfina Ambroziak obdarzona pięknym głosem sopranowym o dużej skali, urodziła i w dziedzinie śpiewała w „Pajacach”, „Cyganerii” i „Don Juanie”. Jest śpiewaczką mogącą wykonywać partie zarówno liryczne, jak i koloraturowe.

„Brak własnego teatru — mówi — nie wpływa specjalnie korzystnie na przebieg prac związanych z przygotowaniem opery. W zasadzie, nim zaczynamy próby w zespołach, każdy solista opracowuje z pomocą korepetytora swoje partie. Później zaczynają się próby z orkiestrą, potem wkracza reżyser, który ustawia poszczególne role, nadaje ramy całości widowiskowej”.

„Staram się codziennie, bez względu na rozmiar zajęć, prześpiewywać odpowiednio ćwiczenia głosowe. Każda dłuższa przerwa powoduje fatalne w skutkach zmiany. Śpiewak nie tylko że się nie rozwija, ale nie jest zdolny do wykonania opanowanych już technicznie partii. W zasadzie możliwości głosowe śpiewaka rozwijają się do 35 roku życia. Potem może utrzymywać już tylko opanowany poziom. Jak długo? To sprawy indywidualne. Są śpiewacy, którzy utrzymują kondycję bardzo długo, są tacy, którzy szybko ją tracą.

Śpiew poza wszystkim innym wymaga wytrzymałości fizycznej”.

„Najszybszej ucze się melodii. Tekst! Z tym zawsze są kłopoty. W operze nie ma suflera, a więc nie ma meza opatrnościowego każdego dramatycznego teatru.

„Śpiewak ograniczony jest rytmem, czasem, nie może robić nagłych przerw, bo orkiestra przeleci gra dalej. Różne są sposoby latania takich dziur pamięciowych i tużynowani śpiewacy świetnie umieją sobie w takich rzadkach radzić. Tekst, choć pomaga śpiewakowi jest jednocześnie wielką jego zimą. Tekst polski to bagatela, trudność rośniesz się śpiewa w języku obcym. Za granicą wykonuje się pieśni i opery zwykle w tekście oryginalnym. Ja śpiewam w czterech językach, co oczywiście nie znaczy, że te cztery języki świetnie znam”.

„Przedstawienie operowe, zwłaszcza, przy dużych partiach solowych, to dla śpiewaka ogromny wysiłek. Każdy z nas musi dbać o głos, to bardzo czuły instrument. Mogłabym wymienić tu całą listę rzeczy, które szkodzi i których wobec tego nie należy robić. Dla przykładu: szkodzi wdychanie dymu papierosowego. Przed każdym przedstawieniem staram się przede wszystkim wypocząć, to bardzo ważne. Zawsze prześpiewuję sobie swoje partie”.

„Nie odważę się już chyba nigdy na udział w podobnym, co monachijski, konkursie. Ogrom tego typu imprez, długotrwałe eliminacje są tak wyczerpujące fizycznie i nerwowo, że tylko wyjątkowa kondycja może zapewnić śpiewakowi taki sukces. W Monachium zdobyłam pierwszą nagrodę, przy czym drugiej nie przyznano. Nagroda ta zapewniła mi kontrakty zagraniczne. W tym roku w maju i czerwcu występowałam w NRF, śpiewałam w czasie „Lata w Salzburgu” co dla śpiewaka jest ogromnym wyróżnieniem. W przyszłym roku znowu pojedę do Niemiec, będę też śpiewać w Rumunii”.

Paul Delfinie w tych zagranicznych wояжach towarzyszy mąż, znany i bardzo wysoko ceniony akompaniator Rajmund Ambroziak.

„Mąż wiele mi pomaga, razem pracujemy. Sprawuje nad mną opiekę bardzo surową, wiele ode mnie wymaga. Ciągłe powiększanie repertuaru, to jeden z wielu obowiązków trapiących śpiewaczkę”.

„W zasadzie jestem śpiewaczką operową, ale śpiewam także utwory inne; pieśni, utwory oratoryjne. Specjalizuję się w muzyce dawnej, ale również interesuje mnie muzyka współczesna. Śpiew estradowy to dla śpiewaka znakomita szkoła. Występy koncertowe najbardziej demaskują warsztat, pokazują prawdziwy kunszt wokalny”.

Paul Delfina jest również solistką Opery Kameralnej przy Filharmonii Narodowej w Warszawie. W Festiwalu Muzyki Polskiej w Bydgoszczy wystąpiła między innymi w „Amfitrionie Polskim” zyskując sobie niemałe uznanie znawców.

„Przygotowuję się do Zuzi w „Verbum Nobile” Moniuszki, będę śpiewała w „Carmine Burana” Orffa i w „Tajemnicy Zuzanny” Wolfa Ferrariego. Otrzymałam propozycje rocznych występów w operze niemieckiej, ale poza tym, że jestem śpiewaczką, jestem także matką trzy i pół letniego Jacusia i nie mogę wyobrazić sobie dłuższego pobytu poza krajem. Lubię śpiewać w Łodzi. Pracownicy Opery są przecież pod szczególną opieką ojców miasta”.

**SŁOWO O BYŁYM
BANDOSIE**

Powiedziałem mu, że zostanę u niego najwyżej godzinę, ponieważ muszę jechać do Elbląga. Odparł — po co do Elbląga, u mnie zanocesz i pojedziesz jutro rannym samochodem. — Wiedziałem, że się nie wymówię. Spoglądał na mnie w taki sposób, że trudno było się wymówić. Wyniosł do ogródka mały stolik, ustawił go przed domem; w ogródku rosły grusze i śliwy. Usiedliśmy, jego żona postawiła przed nami chleb, masło, ser. Mrugnął na nią i przyniosła jeszcze wino, czerwone, jeżynowe. Powiedział — wódki nie pijamy tutaj, ale wino bardzo chętnie. — Piliśmy więc to wino, przegrzając serem. Dzień był pogodny, słońce nagrzewało, nie było ani za gorąco ani za duszno. Chciało się siedzieć w tym nagrzany powietrzu pełnym zapachów siana i żyta. Zza domu dochodził do nas jednostajny szum morza. Morze było niedaleko, szło się trzy kilometry do Jantar, a od Jantar tylko przez las, wielki piaszczysty wał — góra porośnięta lasem i już morze. Takie samo, jak w Krynicy Morskiej, czyste, i brzo również taki sam, doskonała plaża.

Ostatni raz byłem u niego trzy lata temu, nie dziwiłem się więc, dlaczego mnie zatrzymywał. Był spragniony nie tyle wiadomości ze swojej rodzinnej wsi, z Żernik w Kieleckiem, bo utrzymywał przecież kontakty listowne z rodziną, ale rozmowy ze mną, opowiadania. A to nie jest dla niego to samo; kiedy się mówi, to tak, jakby się było tam na miejscu. Jednak kiedy się uspokoił, że nie odjadę, nie pytał o rodzinę, tylko poprosił o fotografie. Pokazałem mu więc ostatnie zdjęcia, były różne: i widok ogólny wsi, i krajobrazy, nie takie jak tutaj, równinne, ale pagórkowate, zarośnięte lasem. Były tam jeszcze zdjęcia ze źnów. Jedno szczególnie przypadło mu

do smaku — wóz pełen żyta na polu (które pamiętał), pole było na wzgórzu, na stoku odwróconym ku zachodowi, słońce tutaj wychodziło zza lasu dopiero po godzinie dziesiątej. To było jego dawne pole, należało teraz do kuzyna. Oglądał to zdjęcie, które było zaledwie ideogramem, znakiem przedmiotu, przecież patrzył tak, jak się patrzy na scenę pełną życia. Kazał mi dokładnie opisać, jakie mi dokładnie opisać, jakie były w tym roku urodzaje, ile zebrano z pola. Powiedziałem mu wszystko. Ogromnie go to interesowało. Dodatem, że dzięki kontraktom ludziom w jego okolicy powodzi się zupełnie nieźle. Nie tak, jakby sobie każdy zamarzył, ale w ogólnym przekroju, o niebo lepiej niż przed wojną, niż zaraz po wojnie. Wystarczy jeśli powiem, że w okresie zbioru tuskawek pieniądze nikomu nie brakuje. A poza tuskawkami są jeszcze warzywa, poza uprawą trawy, którą lepiej się opła-

cić siac niż żyto (za metr trawy odpisał kuzynowi cztery metry żyta i jeszcze dopłaćli mu około 1800 złotych), kontraktuje się buraki cukrowe. Opowiadałem, że byłem u jego kuzyna w tym czasie, kiedy czyszczono tam buraki cukrowe. — Powiedział, pisali mi, że mają motor elektryczny. — Tak jest — odparłem — wzięli na raty, przydaje się bardzo. To ci powiem — mówiłem — że buraki czyszczono u nas (tak mi jakoś mimowoli wyszło to „u nas”, a on się tylko uśmiechnął; rzeczywiście jeszcze dziesięć lat temu to rozróżnienie „u nas” i „u was” brzmiało by fałszywie. Ale dzisiaj on już był „tutejszym” w całym tego słowa znaczeniu), powoźnikiem — buraki czyszczono w zwyczajnym ręcznym młynku, jaki był w użyciu i w latach dwudziestych, ale teraz wykorzystano motor. Na miejsce drewnianej rączki kuzyn wmontował stare koło od roweru, połączył pasem z mo-

torem i robotą grafa aż miło. Zdawało się, że będzie jeszcze pytał o dalsze szczegóły, sam byłem dumny z tego elektrycznego młynka, ale on oparł się o ścianę, przymknął oczy i dopiero po chwili powiedział: — A czy kiedy w dalekiej przeszłości iński bandos dołączył swoją w kamieniu wykłęczę? — Bo zapomniałem dodać, że z niego był poeta. Nie pisał wierszy, ale dużej miał poety, był bardzo wrażliwy, i znał na pamięć dużo rzeczy, nie tylko poezję. Nowele Zeromskiego mógł cytować godzinami. W czasie wojny był w Batalionach Chłopskich, tam go przezywano Poetą, Kaznodzieją, bo siadłszy nieraz w spokojnej chwili mówił i mówił bez przerwy. To były z pewnością najbardziej udane wleczozy autorskie, najbardziej wzruszające i głębokie, chociaż bez autorka. A „Słowo o bandosie” deklamował wprost po mistrzowsku, inaczej zupełnie niż aktor na scenie, zapewne nie otrzymałby nagrody w konkursie recytatorskim, ale tam w lesie i w takich okolicznościach był nie do zastąpienia. Wydobywał z tekstu największą goręć, wypowiadał go z ironią, a przy tym nie zważał na znaki przestankowe, tak że

Dalszy ciąg
na str. 8



Fot. J. Myczkowski

**Kto obawia się
„BRONI EKONOMICZNEJ”**

Dalszy ciąg ze str. 1

ale właśnie zabezpieczenie własnej egzystencji” leży u podstaw kapitalistycznej pomocy.

Jak to wygląda praktycznie — mówił na XIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR Władysław Gomułka, powołując się na oficjalne dane Układu Ogólnego w sprawie Cel i Handlu. Wynika z nich, że import prywatnych kapitałów do krajów słabo rozwiniętych w latach 1953-58 wyniósł niespełna 7,6 miliarda dolarów, natomiast eksport prywatnych zysków... 13,8 mld dol. Inaczej mówiąc — kraje Azji, Afryki i Ameryki Łac. musiały dopłacić 6 miliardów dolarów.

Można by oczywiście przytaczać i inne, równie znamienne liczby. Nie o to jednak chodzi, Istota sprawy w tym, że ten „złoty interes” zaczął się nagle psuć. Pojawił się bowiem silny konkurent — który swą pomocą dla krajów zacofanych traktuje wyłącznie jako źródło pomnażania ich sił ekonomicznych.

Znany amerykański publicysta Walter Lippmann, stwierdzając w jednym ze swych artykułów, że „słabo rozwinięte kraje nie zależą już od nas, gdyż mają alternatywne źródło otrzymania kapitalnego sprzętu oraz pomocy technicznej” orzeczył ten fakt jako „jedno z najpoważniejszych wydarzeń naszych czasów”.

Oczywiście, tym konkurentem jest Związek Radziecki.

O rozmiarach pomocy niesionej przez ZSRR krajom o zaniedbanej ekonomice niewymownie świadczy liczby.

W ponad 20 młodych państwach — zgodnie z zawartymi umowami — Związek Radziecki pomaga przy budowie 480 obiektów, z których ponad 120 oddano już do eksploatacji. Kraje te korzystają z kredytu w wysokości ok. 3 mld. rubli, udzielanego zazwyczaj na okres 12-letni i na niewielki procent — 2,5 — 3.

Pomoc radziecka przejawia się również w kształceniu kadry specjalistów, dzieleniu się doświadczeniami przy budowie nowych o-

biektów, czy też organizowaniu w tych krajach specjalistycznych uczelni lub instytutów. Tylko w Afganistanie, korzystając z nauki, przekazywanej przez specjalistów radzieckich zdobyto i pogłębiło swe kwalifikacje około 20 tys. robotników.

Nie można wreszcie zapominać i o tym, że radzieccy geolodzy biorą szeroki udział w pracach poszukiwawczych bogactw naturalnych: ropy naftowej w Indiach, czy też złota i diamentów w Mali.

Formy pomocy są więc różnorodne, wynikające z potrzeb ekonomiki młodych państw.

Jest to nowy etap pomocy, dostosowany do nowego etapu rewolucji narodowo-wyzwoleńczej, który charakteryzuje się walką o niezależność ekonomiczną i postęp gospodarczy.

Tej groźnej dla kapitalu broni obawia się właśnie Zachód. Cytowany powyżej ekonomista dostrzega to: „zagrożenie gospodarcze” — pisze w swej książce — jest trudniejsze do zauważenia niż zagrożenie wojskowe i

może być bardziej zabójcze. Broń atomowa ma ogromną siłę niszczytelną, ale broń ekonomiczna może być równie niszcząca, ponieważ jest ona w stanie kompletnie zdeorganizować cały system gospodarczy Zachodu... Z chwilą, gdy kluczowe surowce przestalyby być dla nas dostępne, znalazłbyśmy się w godnej pożałowania sytuacji”.

Kraje słabo rozwinięte stały się terenem szczególnego współzawodnictwa ekonomicznego między Wschodem i Zachodem. Również tam rozstrzyga się jeden z etapów walki o wykazanie wyższości ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym. Z jakim skutkiem — świadczy wyraźnie obawy Broekmijera, Przechwała on niekorzystny dla kapitalizmu rozwój wydarzeń, ale nie jest w stanie im przeciwdziałać. Jego nawoływanie do oparcia zachodniej pomocy dla krajów zacofanych „na zdrowych podstawach gospodarczych” są niczym innym, jak tylko próbą powstrzymania procesu, który trwa i nie może być zahamowany.

WIESŁAW BEK

GŁOS WIELKIEGO BUNTOWNIKA

Postać Luisa Bunuela budzić musi szczególny podziw i szacunek. Tylko niewielu twórców, potrafi tak jak on pozostać wiernym ideałom swojej młodości, potrafi zawsze być wśród tych, którzy stanowią awangardę myśli i sztuki. Od trzydziestu pięciu lat rozbrzmiewa z ekranów świata głos tego wielkiego buntownika, którego nie ujarzmił ani czas, ani sława, ani pieniądze, artyści zbuntowanego przeciw fałszywym i pełnym hi-pokryzji zakazom, nakazom i prawom, przeciw instytucjom społecznym łamiącym naturę ludzką, przeciw przyjętym od wieków regułom gry, przeciw wszelkiemu kłamstwu i obłudzie, artyści pragnącego mówić tylko prawdę o człowieku, prawdę jaką widzi i czuje.

Filmy Bunuela są par excellence filmami autorski mi. Nie sposób tu oddzielić głosu artysty od głosu człowieka. Od „Psa andaluzyjskiego” i „Złotego wieku” do „Nazarina”, „Viridiana” i „Anioła zagłady” prześledzić można drogę rozwoju myśli i uczuć Bunuela i drogę rozwoju jego sztuki. Są to filmy, w jakichś sensie intymnym dziennikiem reżysera, zwierciadłem jego kompleksów i obsesji, obiektów miłości i nienawiści, żywym zapisem a zarazem epizodem sporu toczącego się o świat. Może dlatego tak trudno wnikać w świat „Viridiana” — przezeń barokowy, pełen surrealistycznych symboli i goyowskiej grozy świat i jednocześnie skoro się już raz go zrozumie, tak trudno się odeń wyzwo-
lić.

„Viridiana” jest filmem, który nie sposób zamknąć w jakichkolwiek formułkach. Chyba trafnie zauważył Aleksander Jackiewicz (Film nr 39), że „trzeba go kontemplować tak jak kontemplujemy rzeczywistość. Jest on realnością stworzoną po raz drugi. Trzeba ją — na całą współczesną sztukę — otworzyć sobie jak otwiera się siebie na życie”. I dlatego każdy z widzów nadaje „Viridiana” jakiś własny, bardzo osobisty sens, każdy odczytuje ją w inny sposób. I kto wie czy nie na tym polega wielkość tego dzieła, tak bogatego znaczeniowo jak sama rzeczywistość, jak życie.

W „Viridiana” odnaleźć można ostry protest przeciw stosunkom panującym w dzisiejszej Hiszpanii, ale także głęboki bunt przeciw sytuacji współczesnego człowieka. Już w „Nazarinie” zniszczył Bunuel mit o posłannictwie jednostki pragnącej zbawić świat, mit o istnieniu wartości absolutnych. Misja Nazarina zakończyła się klęską, podstawowe wartości dobra i zła okazały się całkowicie relatywne. Dobro zmienia się w zło tak, jak brzydota w piękno. To zresztą klucz do poetyki Bunuela. Wystarczy tylko przypomnieć sekwencję zwierzęcej uczty żebraków, przechodzącą nagle w pełne poezji, powiewne, niemal nierealne ujęcia tańca. Misja „Viridiana”, — don Kichota w spódnicy — wierzącej i szukającej absolutu — również kończy się klęską. Tak jak romantyczna i jedyna miłość jej wuja.

Oto staje przed nami czło-wiek rozdarty, i kraj rozdarty — Hiszpania — na pograniczu dwóch epok: feudalizmu i kapitalizmu. Z jednej strony tradycja kultury i moralności kontem-

placyjnej, opartej na z góry założonych stałych wartościach dobra i zła, z drugiej współczesna cywilizacja konsumpcyjna z całym swym relatywizmem moralnym. Bunuel zderzył je ze sobą w znakomitej sekwencji modlitwy żebraków przy rwanej i zagłuszonej odgłosami pracy robotników, zatrudnionych przy remoncie pałacu. Ale artysta sięgnął jeszcze głębiej. Za strzelistą fasadą modlitwy kryją się przecież prymitywne, zwierzęce instynkty; głód, żądza, chciwość. Skłonności do nieróbstwa, całkowitej bierności, towarzyszy tu brutalna nienawiść, chęć gwałtu i przemocy. A co nieświeżość świat twórczej, pozytywnej pracy, reprezentowany przez Jorge? Stosunki międzyludzkie bardziej wyrafinowane i zakłamane. Tutaj nie zabija się własnoręcznie, wystarczy zapłacić mordercy. Tu się nie gwałci i nie używa ordynarnych słów. Tu się po prostu siedzi w świetle domowej lampy przy stole i gra w marioch. We troje, w ramach pocziwego, mieszczańskiego trójkąta. Bo tak właśnie wygląda mieszczańska moralność, obłudna, zakłamana, wsparta na pieniądzu i hipokryzji, ale układna i grzeczna.

Człowiek zwierzę, niewolnik prymitywnych instynktów i człowiek cywilizowany, świadomy siebie, a więc pozornie wolny, przeciwieństwo zakuty w kajdany stworzonych przez siebie samych norm współżycia i praw. Tak wygląda krzywa postępu widziana oczyma Bunuela. Oto świat, w którym przyjdzie żyć „Viridiana”, która „przejrzała” i zrzuciła zbroję don Kichota. Dramat człowieka rozdartego między ikwiącym w nim dążeniem do absolutu, do jakichś wartości transcendentalnych, mogących przetrwać kruchą powłokę rzeczy tego świata a własnym ciałem, własną naturą, należąca do owej rzeczywistości rzeczy kruchych, przemijających i względnych.

Mało jest dzieł sztuki tak głęboko tragicznych i tak gorzkich jak film Bunuela. I tak zarazem buntowniczych i odważnych w podważaniu uświęconych mitów, „humanistycznych” prawd, w spojrzeniu na naturę człowieka, istoty biologicznej i społecznej.

I kto wie czy jedynym pozytywnym bohaterem filmu nie jest ów żebrak, który odchodzi od Viridiana, wybiera wolność i wierność własnej naturze. Wolność i autentyczność. Może to są właśnie dla Bunuela właściwe rozwiązania?

A może Bunuel ten mistrz sztuki szokującej i niespokojnej zawarł w swym filmie jeszcze jedną metaforę... Może jest to także historia klęski „wielkiej” sztuki, upiększającej, idealizującej i pragnącej tym naprawić świat... Może jest to dramat sztuki, która zesłała do roli przyjemnej ozdoby zacisznych mieszkań. I może jest w tym filmie niedopowiedziane wołanie o sztukę krzyżującą, szokującą, burzącą spokój zacisznych mieszkań i sumień, o sztukę buntu i prawdy.

„Viridiana” mimo swego barokowego kształtu jest właściwie arcydziełem prostoty. Otwartość struktury dramatycznej idzie tu w parze z niezwykle funkcjonalną formą plastyczną. Bunuel znakomicie operuje symbolami, z których każdy tkwi immanentnie w tkance utworu. Strona plastyczna tego filmu przywodzi na myśl wielkie tradycje malarstwa hiszpańskiego. Jest to zresztą w ogóle świetny przykład dzieła narodowego, wrośniętego korzeniami w kulturę i sztukę hiszpańską, a jednocześnie tak uniwersalnego i ogólnoludzkiego!



Przypominamy tragiczną, zmarłego świetnego aktora amerykańskiego Jeane Deana, — znanego u nas z filmu „Na wschód od Edenu”.

BEZ PODZIAŁÓW

Czy rzeczywiście wszystko zaczęło się od malw, tego nie wiem; w każdym razie telewizyjni realizatorzy programu „Zaczęło się od malw” mieli prawo nam zasugerować ową ładną przenośnię, poetycką metaforę, chociaż jej odniesienie było w tej audycji jak najbardziej konkretne i realne. Po długim okresie instruktażowych programów dla wsi pojawił się nareszcie na ekranie telewizyjnym program który został poświęcony wielkiemu społecznemu problemowi: roli wiejskiej dziewczyny, a który, o dziwo — nie był ani instruktażowy, ani sztam-powy, ani schematyczny; portrafil zaintrygowane widza, pomimo że jego twórcy nie sięgali do jakichś nadzwyczajnych środków wyrazu — przeciwnie, korzystali z tych najprostszych: interesująco wykonanej dźwiękowej filmowej oraz ciekawie przeprowadzonej rozmowy.

Bohaterkami programu „Zaczęło się od malw” było sześć wiejskich dziewcząt, które po skończeniu szkoły zdecydowały się powrócić na wieś i wsi poświęcić swoją pracę. Takich dziewcząt, jak te sześć nam przedstawionych, jest u nas bardzo wiele, jest ich tysiące. Myślę dlatego, że autorzy programu „Zaczęło się od malw” nie mieli większego kłopotu z wyszukaniem bohaterki do swojej audycji. Wieś — to teren odkryty, nieznanym mieszkańcom miast. Wnikliwa penetracja tego terenu może dostarczyć „kopalnię” tematów publicystom, w tym również i publicystom telewizyjnym. Ci jednak ostatni bardzo rzadko korzystają z takich możliwości.

Telewizja ma swoją „Niedzielną Biesiadę”. Parę razy zabierałem głos na temat tej audycji. Jej największą wadą, chociaż nie jedyną, jest zbyt wielka instruktażowość. Oczywiście instruktaż też jest potrzebny, lecz nie wolno się do niego ograniczać i wyłącznie na nim poprzestawać. Po prostu dlatego, że...mniej więcej 10 procent wszystkich zarejestrowanych widzów trafiało pod strzechy. Nie wiem,

czy taki nawet procent programowi jest przeznaczony dla wsi. Owych 10 proc. — to i tak dużo w porównaniu z sytuacją sprzed roku, kiedy ilość widzów wiejskich (wylączywszy wiejską inteligencję i pracowników PGR) — obliczano na 1 procent ogólnej liczby teleabonentów. W miarę rozwoju elektryfikacji kraju i budowy sieci łącz, wieś będzie musiała coraz bardziej partycypować w programach telewizyjnych, gdyż jesteśmy w przededniu szturm na najbardziej wiejskie „regiony” Polski: województwa wschodnie, północne i południowe” (Leszek Goliński, „Trybuna Ludu” nr 279).

Co to znaczy, że wieś będzie musiała silniej partycypować w programie telewizyjnym? Czy znaczy to, że powinna zwiększyć się ilość audycji przeznaczonych dla wsi.

Nie wiem, czy w ogóle służny jest podział na program „dla wsi” i program „dla miasta”. Miałbym wiele przeciwko takiemu podziałowi. Prawda wygląda bowiem tak, że program „dla miasta” jest oglądany przez wieś całkowicie, podczas gdy program dla „wsi” odbiera tylko sama wieś. Nie ludźmi się, że jest inaczej, miasto nie „partycypuje” w programie wiejskim. „Telewizyjny kurs rolniczy”, stały, cykliczny i wartościowy program, jest przecież obliczony z góry do odbioru przez krąg ludzi bezpośrednio zainteresowanych tą problematyką. Mieszkańca miasta nie może przecież sła-rzeczy interesować budowa silnika snopowiązałki, albo co to są poplony. Natomiast „Niedzielną Biesiadę” właśnie ze względu na swój instruktażowy charakter nie jest w stanie zainteresować telewizyjną zamiast zbliżyć i la-czyć, zamiast spełniać rolę

katalizatora, zamiast umacniać kontakty — rozluźnia je jeszcze bardziej poprzez swój sztuczny podział na program „dla wsi” i program „dla miasta”. Czas więc skończyć z tym podziałem. Program telewizyjny jest jeden, obliczony na odbiór przez wszystkich teleabonentów, i tych „wiejskich” i tych „miejskich”. Owa silniejsza partycypacja wsi w programie telewizyjnym, o której pisze Leszek Goliński, powinna polegać na zwiększeniu przez telewizję ilości audycji poświęconych tematyce wiejskiej — w audycji problemowych — nie zaś instruktażowych. Audycje sięgające do najbardziej konkretnych kwestii, do życia społecznego i obyczajowego wsi. Audycje biorących na war sztat te właśnie tematy, które w jednakowym stopniu będą interesowały telewizyjną wiejską i miejską. Audycje, które zlikwidują dotychczasowy sztuczny, niedobry podział w programie telewizyjnym.

Pierwszym krokiem napróć w tej dziedzinie stał się program publicystyczny, przygotowany przez redakcję publicystyki młodzieżowej — „Zaczęło się od malw”. Myślę, że nikt z widzów „miejskich” nie wylączył odbiornika w czasie trwania tej audycji. Pasjonujące opowieści sześciu wiejskich dziewcząt o ich życiu i pracy, o ich próbach zerwania ze schematem wiejskiej kobiety, której największym marzeniem jest wyjść dobrze za mąż, złożyły się na program „Zaczęło się od malw”. Wzorami jego były ponadto: wielki autentyzm i szczerze wypowiedzi.

Dobrze więc, że się wreszcie zaczęło. Czekamy na kontynuację wartościowego programu o wsi polskiej.

Rozpisałem się przy okazji tej jednej audycji. A przecież obiegły tydzień telewizyjny obfitował w wiele ważnych programów. Przede wszystkim premiera Teatru TV Warszawskiej — „Kordian” Juliusza Słowackiego.

Przed tą premierą słysza-lem dużo sceptycznych sądów i uwag. Ze będzie to telewizyjna, narodowa klapa. Ze będzie to albo udziwniona, nie do strawienia inscenizacja, albo że będzie to wierna, adaptacja Słowackiego, która, oczywiście, przyniesie porcję nudy i rozczerawania. Jota w jota to samo, co mówiło się przed „Weselem” Wyspiańskiego. Tymczasem, Jerzy Antczak, reżyser spektaklu — podobnie jak Adam Hanuszkiewicz, reżyser „Wesela” — stworzył wielkie dzieło, które dowiodło raz jeszcze, że tylko od twórczej inwencji zależy powodzenie klasyki, nawet jeżeli jest to klasyk tak trudny jak Słowacki. Śmiały eksperyment telewizyjny powiodł się całkowicie. Ślad wniosek, że do odważnych świat należy, i że eksperyment twórcy jest konieczny w teatrze telewizyjnym.

Udana pozycja tygodnia był również magazyn aktualności filmowych — „Klasy”. Przeważała go tym razem znakomita aktorka radziecka Tatiana Samojłowa. Wydaje się, że twórcy „Klasy” powinni nieco częściej korzystać z podobnej innowacji.

A może dobrze byłoby pomyśleć o rozszerzeniu tematycznym „Klasy”? Telewizja ma przecież swoich korespondentów za granicą, może więc by pokusić się na taki „Klasy”, który obok aktualności filmowych z kraju będzie systematycznie donosił o najważniejszych wydarzeniach w kinematografii światowej?

Wreszcie ostatnia pozycja warta omówienia, tym razem jednak bez superlatywów. Mam na myśli tutaj sobotnie przedstawienie — „Dama od Maxima” — farsy G. Feydeau, w której rolę tytułową grała Alina Janowska. Bardzo smutna była ta farsa.

KOWALSKI

WSZYSTKO o łódzkich ŻAKACH

Dokończenie ze str. 1

szczenia. Jednakże z opinii przewodniczących wynika, że co najmniej 40 proc. członków wykazuje brak zainteresowania działalnością aktywną i organizacji przynajmniej sobie tylko wtedy, gdy potrzebują zasiłku pieniężnego (zasiłki te — przyznawane zresztą w wyjątkowych wypadkach — przysługują tylko członkom Zrzeszenia) lub skierowania na wczesny krajowy albo zagraniczny.

„Obojętności tej wydamy walkę“ — mówi przewodniczący Rady Okręgowej ZSP, młody, pełen energii i entuzjastyczny prawnik — Witold Góralski:

„Zadaniem naszym jest nie tylko obrona interesów studenta, ale i szerzej pojętego interesu społeczeństwa. Działamy w duchu założeń Frontu Jedności Narodu, dlatego też nasze wysiłki zmierzają w kierunku odpowiedzialnego wychowania studentów, przygotowania ich do pracy na rzecz społeczeństwa, w środowiskach, z których wyrosli, do pracy nie wyłącznie zawodowej, ale także wychowawczej“.

Wiemy już teraz, kto zajmie się pozadydaktycznym przysposabianiem młodzieży. Władze uczelni nie zawsze mają na to czas, a — poza tym — nie posiadają tak znakomitych jak ZSP warunków oddziaływania na młodych — chociażby za pomocą klubów i kawiarni, (międzyuczelnianych lub uczelnianych) spotkań, prelekcji, spektakli artystycznych, akcji na rzecz miasta, konkursów pracy itp.

Najważniejszą obecnie akcją ZSP obywatelskiego wychowania, a więc akcją walki z obojętnością społeczną, nieświadomością i ignorancją polityczną, walki o zmianę postawy ogółu studentów wobec socjalistycznych wymogów państwa, jest nieodzowna a na rezultaty jej oczekuje cały kraj.

Niejeden to raz zdarzyło się, że kończący studia i rozpoczynający pracę młody człowiek był zupełnie bezradny wobec narzuconych mu przez kierownictwo zakładu czy szkoły zadań, które odbiegały od jego umiejętności zawodowych; a pojechał na pracę organizacyjną, społecznej, wychowawczej, pracy nad właściwym ukształtowaniem młodych charakterów.

To przecież jasne, że w naszym kraju nauka nie może kończyć się na fakcie przyswojenia sobie pewnej ilości wiedzy z dziedziny matematyki, fizyki czy literatury. Musi również kształtować światopogląd, rozwijać wiedzę o zasadach życia w socjalistycznym systemie społecznym, kształtować postawę ucznia, robotnika czy studenta wobec życia kraju.

Wszystko wskazuje jednak na to, że podjęta przez ZSP akcja przyniesie ogromną (i niecierpliwie oczekiwaną) poprawę stosunku młodzieży studenckiej do pracy społecznej, zawodowej i oczywiście samej nau-

ki, która w żadnym wypadku nie powinna być zaniedbywana.

Przy całej trosce o walory wychowawcze swej pracy ZSP nie zaniedbuje obowiązków w zakresie różnych innych dziedzin studenckiego życia. Ot, chociażby taki przykład: na wniosek interweniującego Zrzeszenia władze Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego wprowadziły system dowolnego wyboru przez studentów terminu egzaminów. Oczywiście, terminu mieszczącego się w ramach egzaminacyjnej sesji.

Wiele problemów załatwio no też dzięki spotkaniom kierownictwa ZSP z najwyższymi władzami uczelni, które zawsze znajdują czas na przedyskutowanie najbardziej palących, istotnych spraw.

Łódzka Rada Okręgowa liczy około 1000 członków aktywnych, który za pośrednictwem odpowiednich komisji (kultury, nauki, propagandy, organizacji, ekonomiki, turystyki, finansów), kieruje całością życia studenckiego, życia nie tylko pozauczelnianego, czego dowodem mogą być organizowane z inicjatywy Komisji Nauki koła samokształceniowe, kółka wzajemnej pomocy w nauce i inne.

Czytelnika zainteresuje z pewnością zespół personalny władz Zrzeszenia. V Kongres ZSP powziął uchwałę, iż każdy z przewodniczących Komisji piastować będzie swój urząd tylko w ciągu jednej kadencji wyborczej, to znaczy w okresie dwu lat. Wniosek ten wydatnie służy, gwarantuje bowiem Zrzeszeniu prawdziwie demokratyczną atmosferę, zapewnia ściślejszą łączność władz ze studentami. Nie będzie już, jak dawniej, sytuacji, w których np. trzykrotnie wybierany przewodniczący, będący od sześciu lat absolutem uczelni, mimo najszerszych chęci nie potrafił wczuć się w aktualną sytuację środowiska studentów, czas i praca zawodowa musiały go w pewnym sensie wyobcować.

Obecne władze RO ZSP w Łodzi (przewodniczący Witold Góralski wiceprzewodniczący Stefan Kosmala, wiceprzewodniczący Marian Masłowski, sekretarz Rady Mikołaj Lisiecki) reprezentowane są przez ludzi, którzy skończyli studia niedawno lub obecnie kończą (Kosmala w najbliższych dniach bronić będzie swej pracy magisterskiej, Masłowski zaś doktorskiej). Przewodniczący Góralski przygotowuje się do egzaminu sędziowskiego, natomiast Lisiecki pełni funkcję asystenta UL).

Warto jeszcze dodać, że w chwili obecnej warunkiem piastowania którejś z funkcji w ZSP są dobre osiągnięcia w nauce. Przed V Kongresem byłyby wypadki, że znakomicie skądinąd pracujący organizatorzy i działacze zaniedbywali naukę i nie kończyli studiów, co stwarzało sytuację paradoksalną, która w poważnym stopniu podrywała autorytet organizacji.

O studenckich obyczajach, nowym systemie stypendialnym, Domach Akademickich, kulturze środowiska itd. — następnym razem.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Dalszy ciąg ze str. 1

przelewa. Jeszcze raty spłacają i podróż za mnie zapłacili — w tamtą i z powrotem.

— Niech się pani nie boi — przerwała dama — on robotnik, ale uskładanej forsy na pewno ma. Oni wszyscy tak mówią, a jak przychodzi co do czego, to dolarów się znajduje ile trzeba.

— Ale oni we Francji...
— No to co, że we Francji? We Francji to już dolara nie widzieli?

Jak już pani chce coś zarobić to niech pani tylko czekoladę bierze. Nasza, wedlow ska...

— A tam nie mają czekolady?

— Mają, ale nasza na całym świecie idzie! Tylko niech się pani tak dobrze nie ubiera, to brat na pewno kabza ruszy.

Tak podbudowany udam się na poszukiwanie powracających do kraju milionerów.

POWRÓT I.

Listy dostawałem często. Listy, paczki. W listach rozmaite fotografie — całej rodziny w mieszkaniu, przy telewizorze, w swoim sklepie, w samochodzie. W każdym liście niemal donoszono nam co nowego sobie kupili, jak im się żyje, że bardzo tęsknią, zapraszali do odwiedzin. Takie listy robią swoje. Początkowo nie myśleliśmy o wyjeździe, ale każdy nowy list odświeżał marzenia, perspektywa wyjazdu stawała się coraz bardziej kusząca. Wreszcie, w roku 1961 zdecydowaliśmy się wyjechać do Brazylii wraz z dziećmi. Rodzina opłaciła przejazd i w zaproszeniu, potwierdzonym przez władze brazylijskie, zapewniła nam utrzymanie.

Jak się nam powiodło przed wyjazdem? No, wie pan, nie najgorzej. Zajmowaliśmy dość eksponowane jak na moje wykształcenie stanowisko — mimo, że z zawodu jestem drogistą, prowadziłem dział inwestycyjny w pewnej instytucji. Żona też pracowała. Kilka lat przed wyjazdem zachorowała i poszedłem na rentę. Ale żyliśmy dostatnio. Przy ul. Piotrkowskiej mieliśmy 2-pokojowe mieszkanie, córka, dziś już 15-letnia dziewczynka, chodziła do szkoły, chłopiec miał dopiero rozpocząć naukę...

Opisania pierwszych dni swojego pobytu w Brazylii państwo G. najwyraźniej pragną uniknąć.

Owszem, przebywaliśmy kilka dni w rodzinie, ale, wie pan... Na obcych ludzi można przedźlić, jak na własną rodzinę. Tam nie ma rodziny, tam o wszystkim decydują pieniądze, za którymi gonią, gonią do upadłego. Tak, na piśmie zapewnili nam utrzymanie przez pierwsze kilka dni. Ale gdzie mieliśmy się udać z tym zapewnieniem? Do sądu, co? Sądy! Panie, la-tami trzeba by się procesować i... mieć pieniądze. Jak się ma pieniądze to wszystko i wszędzie można załatwić. A nam tymczasem ledwo na jedzenie dla dzieci starczało.

Po kilku dniach pojechaliśmy do Sao Paulo. Tam dopiero stanęliśmy przed najtrudniejszymi problemami: zdobycie pracy i mieszkania. Długo trzeba było opowiadać o tym cośmy przeżyli w pierwszych miesiącach. A nawet później, kiedy stanąłem za barem, a żona kierowała kuchnią. No, ale przynajmniej było za co żyć. W Polsce nie zdają sobie ludzie sprawy z tego co to znaczy: „było za co żyć“. Dam panu taki przykład: wynajmiliśmy wraz z jedną polską rodziną mieszkanie, lecz postawiono nam taki warunek, że przez pierwszy rok zamieszkania musimy płacić po 25 tysięcy cruzero miesięcznie, w drugim roku 45 tysięcy, w trzecim zaś o trzydzieści procent więcej. Tymczasem mój zarobek tygodniowy wynosił 14 tysięcy. Jeżeli do tego doliczy my koszt nauki dziecka wynoszący średnio miesięcznie 10 tysięcy cruzero, pozostaje zaledwie skromna sumka na życie. Zresztą sprawa kształcenia dzieci, nawet w zakresie szkoły podstawowej, to całkiem odrębny problem...

„Wykształcenie dziecka — wtrąca pan G. — to największy luksus, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić. W takim Sao Paulo, gdzie mieszka zdaje się około 4 milionów ludności, jest zaledwie — o ile dobrze mnie poinformowano, kiedy staraliśmy się umieścić nasze dzieci — 5 szkół państwowych. Reszta to prywatne, które kosztują bardzo drogo. Proszę sobie wyobrazić jakie to było rozczarowanie dla nas, którzyśmy przyjechali z kraju, gdzie istnieją bezpłatne i dostępne dla każdego

szkoły. Tutaj nikt sobie nie zdaje sprawy jakim to jest wielkim dobrodziejstwem. Albo takie sceny, które na mnie robiły największe wrażenie: w pobliżu kilkunastu piętrowego budynku małe dziecko wybiera z puszek na śmieci odpadki nadające się do jedzenia. Albo widok kobiety z dziećmi śpiącej na ulicy. To są sceny, dla nas — mieszkańców współczesnej Polski jak kieś nie do zniesienia. U nas przecież też są ludzie biedni i widzieli się ludzi ubogo ubranych, ale widok nędzy, o którą człowiek ociera się na każdym kroku i nie może nie tym biedakom pomóc, bo wiem sam jest biednym — to jest przerażające!

„Kiedy już staraliśmy się w konsulacie o powrót do kraju — ciągnie swoją smutną opowieść pan G. — kilka razy spotkałam pewną panią z Wrocławia. Gdybym tego sama nie widziała, nie przeżyła, byłabym święcie przekonana, że to są brednie. Ta kobieta, wraz z dwojgiem dzieci mniej więcej w wieku naszych, przyjechała również do Brazylii, do swojej siostry, pozostawiając w kraju matkę. Nie będę panu opowiadała jej tragedii... Niech się pan nie dziwi, tego inaczej nie można nazwać. Wy-

POWRÓTY

starczy jeśli powiem, że po kilku tygodniach od chwili przyjazdu siostra wskazała jej drzwi, pouczając na odchodne, że jeśli nie może otrzymać pracy to pozostała jeszcze ulica, na której o zarobek nietrudno. Co jej pozostało: codziennie nawiedzać konsulat z prośbą o umożliwienie jej powrotu, gdyż dzieci z głodu musiały zebrać na ulicy o kęs jedła. Wreszcie jednym dzieckiem zaopiekował się jakiś ksiądz katolicki umieszczając dziewczynkę w sierocinca, a chłopcem zaopiekowała się jakaś brazylijska rodzina“.

POWRÓT II

Początek naszej rozmowy z panem Aleksandrem F. był bliźniaczo podobny do poprzedniej. Listy, fotografie od rodziny, aż wreszcie w 1958 roku decyzja opłaconego przez rodzinę wyjazdu z żoną i dziećmi do Kanady. Nawet historia z odwołaniem się rodziny jest identyczna... ot, po prostu, pewnego dnia przestaliśmy utrzymywać z nimi kontakty. Tam się biednych ludzi nie uznaje, nie szanuje. Tam — wszystkim decyduje dolar. Ostatnio pracowałem już, ale przez 5 lat pobytu w Kanadzie byliśmy zaledwie trzy razy w kinie i dwa razy na występach zespołów radzieckich. O teatrze nie było mowy. Najbardziej męczy niepewność, strach przed jutrem. Miałem już taki wypadek, który obudził we mnie to dziwne uczucie. Swego czasu mój szef powrócił z urlopu z Florydy. Pojawił się w przedsiębiorstwie, wezwał mnie i mówił: mój pan, dzisiaj jeszcze pan pracuje, ale jutro proszę nie przychodzić. Tłumaczyłem mu, że mam dom, dzieci, że nie będę miał z czego żyć. To nie nie pomogło. Tego rodzaju prośby nikogo nie wzruszają. 7 miesięcy chodziłem bez pracy, z kolejką kiedy pracowałem, do domu wracałem tak bardzo zmęczony, że nawet nie mogłem się zdobyć na rozmowę z dziećmi. A sprawy na przykład kształcenia dzieci. To są wydatki przekraczające możliwości ludzi biednych. Moja córka ma zdoinność plastyczne, niestety, nie stać mnie było na opłacenie 1.000 dolarów rocznie za naukę. Zresztą nawet nie to zdecydowało o naszym powrocie. Wie pan, dopiero tam człowiek zaczyna sobie umyślać, co to znaczy być przydatnym, czuć się potrzebnym, bez tego całe życie traci sens. A jeszcze do tego brak nadziei na przyszłość własnych dzieci. Chociaż nasz powrót do ojczyzny jest wyjątkowo gorzki. Byliśmy na przykład u lekarza z żoną, już tutaj, po powrocie, kiedy dowiedzieli się, że powróciliśmy z Kanady, przyglądano się nam jak ludziom anormalnym. Wi działo się, że mają niemalże chęć postukać pałkami w nasze czoła. To nie jest osobisty wypadek“.

POWRÓT III

Moji rodzice wyjechali do Francji w 1929 roku. Tam się wychowałam, tam się urodziło moje dalsze rodzeństwo i tam też uczęszczałam do szkoły. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Polski miałam bardzo poważne trudności z porozumiewaniem się. Prawdę mówiąc języka nie znałam. Kiedyś, pamiętam, poszłam do sklepu i poprosiłam o... „paczki ojczyzny do rosoli“.

Było wiele z tego powodu zabawy, ale sklepikarz był bardzo uprzejmy i w mig zorientował się, że chodzi o włoszczyznę. To pan nie wie, że ja tu już mieszkałam. O tak: teraz przyjechałam po raz drugi i... na zawsze.

W okresie okupacji Niemcy wywieźli mnie z miejscowości gdzie mieszkałam — La Rochelle na roboty przymusowe do Niemiec. Tam poznałam swojego męża, z którym po zakończeniu działań wojennych wyjechaliśmy do Francji. W roku 1950 mąż przyjechał do Polski odwiedzić rodzinę, Wrócić z powrotem już nie mógł. Wobec tego ja z dzieckiem przyjechałam do niego i zamieszkałam tutaj. Dostaliśmy ładne mieszkanie, urządziliśmy się przy-

zwicie, mąż pracował i ja. W roku 1958 mąż wyjechał do mojej rodziny na wakacje i już nie powrócił. W trzy lata później zlikwidowałam mieszkanie i wraz z córką wyjechałam do męża. I oto jak pan widzi, po dwóch latach jestem już z powrotem. Ja tam nie mogłabym dłużej mieszkać. Kiedy nie znalazłam w Polsce nic, to mnie nie u Francuzów nie raziło, a raczej wszystko znosiłam spokojnie, nawet uszczypliwe zwroty w rodzaju „la polonaise“, czy traktowanie jak człowieka drugiej kategorii. W Polsce, kiedy słyszą, że jest obokrajowcem, to wszyscy starają się być bardzo grzeczni — chociaż w stosunku do siebie samych nie grzeszemy grzesznością. Ale, że to jest obokrajowiec, więc wszyscy starają się mu pomóc, wskazać, udostępnić, a tam nie.

Zresztą nie tylko stosunek większości Francuzów raził mnie. Tutaj przyjdzie niedługo czy święta, wszyscy są odświętnie ubrani, nawzajem wzywają się. A tam, w niedzielę czy święto zabierają się do roboty: kobiety do prania, sprzątnięcia, a mężczyźni kopią lub porządkują ogródki. To nie tak jak tutaj. Tam wszyscy ciężko pracują i żyją, dosłownie, na raty. Ludzie sądzą, że na Zachodzie złoże leży na ulicy. Tam wszyscy oszczędzają. Jeden drugiego stara się przesiągnąć w budowaniu domku, kupnie gratów, oczywiście na raty i oczywiście kosztem żółtaka do czego ludzie w Polsce nie są raczej przyzwyczajeni. Co prawda wiele osób powątpiewało o tym i panu powiem, ale niestety tak jest: kiedy przyjeżdżałam z Polski na wakacje do Francji to moim siostrzycem przywoziłam moje sukienki. Wcale przez to nie chcę powiedzieć, że tam jest wielka bieda — nie. Ale tam się dosłownie pracuje na spłacenie rat, tam się żyje ciągłym ciuśnięciem, ciągłym rozliczaniem się z każdym „trochę“ — dosłownie. Kiedy zdecydowałam się wyjechać nikt mi nie chciał wierzyć, dopiero jak zrzekłam się obywatelstwa francuskiego, zrozumieli. Wszyscy robili na mnie takie oczy, kiedy zdawałam obywatelstwo. „Jak to — mówili — jedni czekają całe lata, żeby dostać obywatelstwo, a ty się zrzekasz?“

Chociaż muszę panu powiedzieć, że to jest wielka odważa rzucić wszystko i przyjechać tu, na stałe, co prawda do swoich, a jednak w sensie rodzinnym — ludzi obcych. Tam, jakby nie było, zostawiłam matkę, siostry, brata, a więc wszystkich swoich najbliższych. Tutaj nie mam nikogo. Ale wolę już trzeci raz dorabiać się, przeżywać wiele przykrości jakiegoś spotkania przy każdym zetknięciu się z urzędnikami. Mówię całkiem szczerze, tutaj jest za dużo urzędników, którzy nam wszystkim uprzykrzają życie. Zaczęło się już w pierwszym dniu mojego przyjazdu, na komorze cel-

nej. Nie zdawałam sobie sprawy, że przywiezienie swoich osobistych rzeczy i dziecka wymaga dopełnienia przed wyjazdem jakichś formalności i po prostu przyjechałam bez tego. Tutaj, jak się dobrali do moich dwóch koszy i walizki to dwa i pół dnia (!) sprawdzano. Przetrasano każdą drobniak, nawet spośród moich osobistych rzeczy. Po tej ścisłej kontroli wyznaczono mi cło w wysokości 23 tysięcy 173 złotych. Byłam przez raczona. Dopiero ktoś mi poradził, abym się zwróciła do Urzędu Celnego w Warszawie o zwolnienie mojego bagażu od opłat celnych. Po sześciu tygodniach otrzymałam takie zwolnienie.

Drugą podobną przygodę z urzędnikami przeżyłam, kiedy starałam się o dowód osobisty. A zresztą nie będę panu więcej opowiadała, bo i sprawę mieszkaniową musiałabym opowiedzieć. Jak pan widzi, śpimy u mojej szwagierki na podłodze. Jeszcze mi to może pogorszyć sprawę przydziału mieszkania... Jedno ci wszyscy urzędnicy powinni wiedzieć: ci którzy wracają z zagranicy do kraju, nie chcą być traktowani ze szczególnymi uprzywilejowaniami, tylko po prostu my wszyscy jesteśmy bardzo samotni i pierwsze zetknięcie się z urzędnikiem czy urzędem polskim, mimo woli konfrontujemy z tym wszystkim co się słyszało i w wielu krajach jeszcze się słyszy o Polsce...“

MARIAN ZDROJEWSKI

P. S. Rozmowy starałem się przekazać w możliwie dokładnym skrócie. Na wyraźne życzenie moich rozmówców nazwiska zastąpiłem pierwszymi literami. Rozmowy te spisane w nadziei, że przeczyta je zarówno dama, którą spotkałem na początku reporiżarskiej wędrowki jak i jej wier ni słuchacze. Są, że jest to ciekawy materiał pozwalający pogłębić wiedzę o przedmiocie, bowiem takie lekcje jak pobrali moi rozmówcy są bardzo pouczające i godne popularyzacji. To była moja dedykacja. Gdyby przyszło złożyć moim rozmówcom dedykacje pod swoimi wypowiadziami z pewnością adresatami byłiby urzędnicy.

CO w terenie?

8 października odbyło się posiedzenie Prezydium Zarządu Woj. ZMW w sprawie działalności Klubów-kawiarni woj. łódzkiego. Prowadzący tego typu działalności dotychczas w miastach, ale począwszy od zeszłego roku zaczęły powstawać na wsi. Do tej pory jest ich 19, wszystkie prowadzone przez Kółka ZMW, w oparciu o współpracę (nie zawsze idealną, niestety) z Gminnymi Spółdzielniami i strażą pożarną. Jedną z nich powstała przy PGR, które wyposażało ją z własnego funduszu zakładowego. „Kawaleria na wsi — zamiast tradycyjnej świetlicy, to jeszcze nie nowoczesność, choć na pewno nowość w życiu kulturalno - rozrywkowym środowiska wiejskiego i tej nowoczesności sprzyja“ — mówił na posiedzeniu. Klubów-kawiarni powstają sobie ambitny cel — stworzenia (w miarę możliwości) warunków rekompensaty braku miejskich placówek k-o. Dlatego prowadzą one ożywioną działalność kulturalną od odczytów i spotkań literackich począwszy, poprzez organizację wystaw malarstwa, występy zespołów artystycznych, wspólne oglądanie programu TV i projekcji filmów, połączone z dyskusjami, aż do bezalkoholowych wieczorów tanecznych z nauką tańca i gier towarzyskich. Praca klubów podzielona jest na sekcje zainteresowań: teatralną, taneczną, muzyczną, czytelnice i inne w zależności od zainteresowań bytalców. A do klubów-kawiarni przychodzi nie tylko młódz. Po pierwszych oporach i nieufności zaczęły przychodzić i starsi mieszkańcy. Tylko, że nad kawał przedkładają jednak skiankę oranżady...“

„A „RUCH“ pracuje dalej na pełnych obrotach. Po założeniu pierwszych trzech eksperymentalnych klubów-czytelni w Trębaczuwie, Dąbrowiech i Sokolowie — do Końca br. obiecał zająć się dalszą...“ placówki tego typu! Zuczmy więc RUCH powożenia i wytrwałości w realizacji tego odważnego i tak pozytywnego zamierzenia.

JAN HUSZCZA, ur. w 1917 roku na Wileńszczyźnie. Wydał następujące książki: *Ballada o podróżnych* wiersze, Wilno 1938; *Pamiętnik liryczny*, wiersze, Lublin 1945; *Lbem o ścianę*, humoreski, Łódź 1946; *Impertynencje*, humoreski, Warszawa 1947; *Miasteczko nad Olszanką*, powieść, Warszawa 1948; *Wiersze* (wybór), Warszawa 1951; *Dożynki w Adamowie*, humoreski, Warszawa 1953; *O ludziach i z ludźmi*, wiersze liryczne i satyryczne, Warszawa 1954; *Różne nasze sprawy*, wybór satyr i humoresk, Warszawa 1956; *Miłości dzień powszedni*, wiersze Łódź 1957; *Z dalekich dróg*, opowiadania, Warszawa 1957; *Noc przed walnym zebraniem*, humoreski, Łódź 1958; *Wiersze wybrane*, Warszawa 1959; *W kwilaniu czajek*, wiersze, Warszawa 1959; *Wspominki nie zawsze fraszobliwe, szkice*, Łódź 1960; *Telefon więcej nie zadzwoni*, powieść, Łódź 1961; *Utworki wybrane Kaliksta Łasiczki*, wiersze żartobliwe, Łódź, 1962.

PETRAS CVIRKA: *Opowiadania*, przekład, Warszawa 1951.

W druku: *Zaczarowany banknot*, humoreski i opowiadania (nakł. „Czytelnika”), *Nowy wybór wierszy* (nakł. Wydawnictwa Łódzkiego).



Fot. E. Kudaj

JAN HUSZCZA

Szanowny Redaktorze!

Doprawdy, zaskoczyłem mnie i oszłomiłem! Nie dziwię się, gdy czasem otrzymuję jakąś propozycję wypowiedzi z Warszawy, Olsztyna, Katowic lub Lublina. Ale oto łódzkie pismo zwraca się do mnie, łódzkiego od 1945 roku literata, również z prośbą o wypowiedź. No, no... Nie miałem mi wtedy za złe, że prawdopodobnie będzie ją przenikala lekka ekscytacja (nieostrożne wyznanie, tego ktoś może się uczeplić), chociaż będę się starał o rzeczowe potraktowanie Twoich ankietywnych pytań, za obszernych zresztą jak na jednorazową wypowiedź.

Pytasz więc o ocenę dorobku łódzkiego środowiska literackiego. I od razu dodajesz, że chciałbyś zwłaszcza o satyrze. Jak dobrze wiesz, sam uprawiam różne rodzaje literackie, a twórco zwaną satyryczną w pewnych latach szczególnie mnie absorbowała, mimo iż bardzo nie lubię, gdy ktoś nazywa mnie satyrykiem. Zawsze byłem przede wszystkim kimś poetą, wbrew wyglądowi, niezbyt dla potocznej wyobraźni poetycydem. Ostatnio zaś dużo pracuję nad opowiadaniem. Może coś z tego będzie?

Utrzymuję, iż obecność

łódzkiego środowiska w ogólnopolskim dorobku satyryczno-humorystycznym jest istotna. Różnie to na przestrzeni lat wyglądało, ale tu przecież startowały wznowione po wojnie „Szpilki”, tu bzykała „Mucha” — nim dała się nabrać na warszawski lep, tu próbowały bić (niezbyt dotkliwie) „Różgi”.

Jan Sztudynger zdobył sobie wyjątkowy, ogólnopolski rozgłos, jest dziś wśród najbardziej popularnych satyryków, cenionych za fraszki, jego zaś — kolejno — toż — i to często spod la — miki rozechodzą się w 20.000 dy. U niego fraszka nie jest, jak to zazwyczaj się dzieje, marginesem działalności. Nieraz jego „piórka” i gnomy nabierają wagi równej dobrem wierszom satyrycznym, a czasem i lirycznym. Niektóre z nich zgu były nazwisko autora, stały się porzekadłami i przysłowiami, przypominanymi przez ludzi przy różnych okazjach. Pisze ich dużo. Fenomen! Mógłby natomiast niektórych nie drukować, ale przecież wiemy, że większość twórców nigdy nie mieła wyrównanego poziomu, ocenia się ich natomiast według najlepszych osiągnięć. (Panie Janie, niech się tym razem Pan

nie gniewa: przecież należą do pańskich wielbicieli i recenzentów!)

Prozaik Zygmunt Fijas z kolei pisze za mało lub, jeśli kto woli, za mało drukuje. Ten łódzki krakowianin z Nowego Sącza wydał jedną wiaściwie w dwóch wydaniach książkę, „Portret z sera”. (Jest więc jeszcze do nabycia według dawnej ceny „tworzywa”) Fijas, powiedziałbym, nie pisze felietonów czy humoresk, ale formuje i porządkuje materię satyryczną, która jest jakby jego naturą. Prozę Fijasa cechuje rozmówanie w realiach z różnych dziedzin życia, zestawia te realia w rozmaite sposoby (najgorszy z nich — na szczęście występujący rzadko — kolekcjonerski), służą one humorystycznym, dowcipnym spiętrzeniom. Spaja słowa w wesołe zwroty, powiedzonka i zdania, nadaje słowom własny — uzasadniony przebiegiem narracji — sens. Jest to proza oryginalna, fijasowska. Można by pokusić się o jej parodiowanie, a — jak wiadomo — parodiuje się tylko coś, co posiada swoiste i łatwo wykrywalne znamiona!

Dowcip Fijasa nie należy do gwałtownie eksplodują-

cych, nie pobudza może do „zrywania boków ze śmiechu”, ale za to jest trwały, działa na dłuższą metę. Metoda autora nie polega na wytrwałym żeglowaniu do portu, autor rozkłada ją na cały przebieg humoreski lub felietonu, w zakończeniu ładując nawet zupełnie nieefektywnie, co tym bardziej może czytelnika usposobić do refleksji, szczególnego nastroju lub wnioskowania...

Stop, co ja najlepszego robię! Jeśli wdam się w dokładniejsze charakterystyki, to nie będzie miejsca nawet na zwykłe wyliczenie nazwisk.

Otóż prozy satyrycznej sensu stricto nie mamy dużo. Nie wiem na przykład do czego się szykują autorzy zbiorów, które już się dawno rozeszły, Bronisław Chęciński i Wojciech Drygas. Satyrycy to przeważnie poeci, którzy uprawiają także fraszki i wiersze satyryczne, albo też szukają własnych recept na tynktury. Spośród nich wymienilibym Mariana Piechała (pisałem o nim w „Ogłosach” jesienią 1961 roku ex re „Małp w kąpiel”) i Jana Czarnego, od którego powinniśmy oczekiwać trzeciego tomiku fraszek, wierszy i aforyzmów. Osobiście na Czarnego czekam, jak zawsze, ze szczególnym zainteresowaniem. Jest coraz bogatszy.

Dziękuję Wyd. Łódzkiemu ożywił się Horacy Safrin. Wkrótce będzie on autorem czterech książek bardziej żartobliwych niż satyrycznych, szczęśliwie potrącających o folklor żydowski i stanisławowskie anegdoty. Gorzej z oryginalnymi fraszkami.

Tomiki wierszy i fraszek w różnych odstępach wydał: Ryszard Brudziński, Ryszard Doroba, Tadeusz Ciegier, Igor Sildrycki. Nie są to tomiki jednakowej wartości. Dużo w nich złóż od dawna eksploatowanych.

Na jednym, jak dotąd, interesującym tomiku przestał Wacław Olszewski i wdał się w medycynę, do brotliwa bowiem skuteczność tej działalności jest łatwiejsza do uchwycenia.

Szkoda, że wielu poprzestaje na uprawianiu fraszki. Satyryków, nie legitymujących się oddzielnymi publikacjami, daloby się wymienić dosyć dużo.

Jak więc widzisz, Szanowny Redaktorze, można byłoby bez trudu wydawać w naszym mieście nie budzące zażenowania swoją ogólną tonacją popularne pismo satyryczno-humory-

styczne. Czemu tego nikt nie robi, nie mnie o to pytaj!

* * *

„Co sądzę o roli pisarza w Łodzi i jak widzę własny udział w życiu miasta?” Poważnie to sformułowane. I kłopotliwe dla odpowiadającego. Myślę, że konkretna rola pisarza w jego miejscu zamieszkania sprowadza się przede wszystkim do jego funkcji niejako drugorzędnych (dla powołania, rzecz oczywista), czytelników bowiem pisarz, autor książek, znajduje lub szuka wszędzie. Natomiast pisarz w swoim miejscu zamieszkania, jeśli tylko ma do tego odpowiednie dane i skłonności, powinien współpracować z prasą, z instytucjami upowszechniania (światlice) i przekazywania (telewizja, radio) kultury, zabierać głos na temat różnych lokalnych i ogólnych spraw, których w największym po stolicy mieście jest dużo. Więc czyn na obecność. Tym bardziej, że za powieść, którą pisze się rok, można otrzymać 16—20.000 zł brutto w trzech ratach, pracując na własne ryzyko, czekając na raty w najlepszym wypadku ponad rok! Flaubertowski stosunek do pracy pisarskiej w ogóle nie jest możliwy. Czytałem w jednym z jego listów: „Noc z soboty na niedzielę zastaje mnie na stronicy, która zajęła mi cały dzień i bynajmniej nie jest gotowa...”

Pisarze zaś jako środowisko powinni, wspólnie z innymi środowiskami, naukowymi i artystycznymi, dbać o to, by bzdura różnej odmiany i maści znajdowała się w defensywie. Więc spory i sztycherstwo, ale nie ślepe zacietrzewienie, odzywające się często, niestety, w naszym środowisku, żeby przypomnieć chociażby „Osnowę” o czym w „Ogłosach” pisałem.

Za to „gawędy intelektualne” to przykład dodatni nie bez dużego znaczenia. Inaczej mówiąc, nie umie się u nas myśleć dobrem środowiska, choć w mieście dla niektórych poczynić można znaleźć życzliwy patronat.

Pożądane jest, oczywiście, żeby pisarze uwzględniali w swojej twórczości także treści regionalne. Pożądane, ale niekonieczne. Zresztą, i w prozie, i w liryce, i w satyrze występuje tego rodzaju zaangażowanie coraz częściej i to efektywnie.

Sam napisałem kilkanaście wierszy lirycznych i satyrycznych — będących próbą uświadomienia sobie

naszego miasta. Jeden z nich („Łódź 1945”) był nawet przez jakiś czas utworem okolicznościowo — rocznicowym, wielokrotnie przedrukowywanym i recytowanym. Dużą satysfakcję sprawiły mi wyniki czytelniczego plebiscytu, ogłoszonego w 1961 roku przez „Głos Robotniczy”, na najciekawszą książkę Wyd. Łódzkiego, w którym znalazłem się na trzecim miejscu. Wydaje mi się także, że przeważnie udawał się nam kontakt (mówię w liczbie mnogiej, gdyż zależy on od obu stron) z łódzkimi słuchaczami podczas tzw. spotkań autorów. Udział jednak pisarza w życiu miasta zależy w wielkiej mierze od owych wspomnianych pośredników, od instytucji przekazyjących jego twórczość i od pism, z których lamów może on przemawiać.

Chciałbym, Redaktorze, przypomnieć, że mój tom wierszy wybranych (1959), podsumowujący dorobek wielu lat, nie był omawiany nawet na lamach „Ogłosów”. (Nie ja jeden nie byłem omawiany!) Od 1960 roku nie istnieje dla łódzkiej Rozgłośni Radiowej. To już Drugi Radiowy Bonza Tutejszy, dla którego nie istnieje.

At, pójdźmy lepiej z trzema chryzantemami na miłą uliczkę Moniuszki przed pomnik Juliana Tuwima! A potem przejdźmy się trasą: ul. Zeromskiego, Al. Politechniki, ul. Pabianicka. Ta trasa zapowiada się jako najładniejsza w mieście.

Jeszcze tylko chciałbym zauważyć, że po wielkim — a w dużym stopniu naturalnym — exodusie pisarzy do Warszawy działali w Łodzi i ludzie, którzy chcieli we wszystkich wzmówić, że nie ma literatów w tym mieście. Potem ich obecność stwierdzono jakby, z „nie-miłym” zdziwieniem. Niemile dziwienie maleje, w każdym roku. Maluczkę, a może młodszy od nas będą cieszyć się z tego, że ich obecność i wszechstronna działalność jest czymś naturalnym w wielkim mieście przemysłowym. A nawet nie będą się cieszyć, gdyż sobie tego po prostu nie uświadomią. Będą żyć i pracować przy minimalnej ilości antybodźców zewnętrznych. My, starsi, byliśmy jednak nieraz ofiarą owego Niemilego Zdziwienia!

Chodźmy z białymi chryzantemami przed pomnik Juliana Tuwima! Tam od czasu odsłonięcia rzadko kto chyba kwiaty składał, a dzieci często zalepiają błotem złocone litery...

ANDRZEJ BISKUPSKI

WIERSZE MŁODYCH

JAN L. KAROLAK

Elżbiecie
poprzez słowa
poznają twoje podróże
wchodzą w twoje klimaty
nieodkładnie poprzez słowa

jeszcze mniej wiem
o sobie
nigdy nie udało mi się
stanąć obok
i spojrzeć
jak wpelzam
w klimaty płonące
jak wpelzam
pod niebem przybliżonym
dalekim poprzez słowa



rozbiasz się
do krwi
ptaki niebo
rozpinają
przestrzeń
dławi się powietrzem

— drżysz
tak rozpięta
mrówka sobą rozgnieciona
krwawi
21.IV.65.



Andrzejowi Dąbrowskiemu

Gdy jestem sam
nie ma mnie
gdzieś
są ludzie

Gdy jestem wśród ludzi
nie ma mnie
gdzieś
jestem sam

W roku 1960 członkowie japońskiego Komitetu Olimpijskiego, bawiąc w Rzymie i podziwiając znakomite przygotowanie „wiecznego miasta” do Olimpiady zainteresowali się w głównej mierze faktem, skąd Włosi wzięli na to wszystko pieniądze. Po dłuższych indagacjach, okazało się, że z części dochodów totalizatora piłkarskiego, Japończycy przestudiowali więc dokładnie system działania włoskiego totka i po powrocie do kraju zdali sprawę burmistrzowi Tokio i zarazem przewodniczącemu komitetu organizacyjnego przyszłej Olimpiady — doktorowi Ryo-toro Azuma. Doktor Azuma znając zamiłowanie swych ziomeków do sportu i zarazem ich pasję do robienia zakładów z miejsca stał się entuzjastą nowego pomysłu. Dochody uzyskiwane w ciągu 4 lat z totka pozwoliłyby nie tylko na sfinansowanie kosztów Olimpiady, ale i na rozbudowę i upiększenie stolicy Japonii. Doktor Azuma przedłożył rządowi projekt i schemat totka, obejmujący baseball Sumo i wyścigi kolarskie na torze. Ale za-wistny burmistrz Osaka, nie mogąc znieść myśli, że zaszczyt zorganizowania Olimpiady przypadnie w udziale Tokio, rozpętał w prasie, radiu i telewizji kampanię przeciw totkowi, utrzymując, iż tego rodzaju system zakładów z natury swej jest niemoralny, i że nie wolno budować stadionów za pieniądze wyłudzone od biednych, naiwnych ludzi. Pod wpływem tej nie przebierającej w środkach i operującej zresztą niepozabawionymi pewnej racji argumentami, premier Ikeda odrzucił projekt totka.

Doktor Azuma postanowił zatem znaleźć takie źródła dochodów, do których burmistrz Osaka nie mógłby się przyczepić. W pierwszym rządzie udało mu się uzyskać dochód ze sprzedaży bardzo poszukiwanej serii znaczków pocztowych. Następnie sam wydał serię znaczków, pozabawionych właściwie jakiegokolwiek wartości, o czysto pamiątkowym, dekoracyjnym charakterze. Przy wszystkich barach, restauracjach, hotelach, kinach i teatrach za-instalowano małe, plastikowe skrzynki. Kilkuletnie napisy głoszają: „Zaden grosz nie jest dla nas zbyt mały. Pomóżcie nam zorganizować olimpiadę”. Trzecim źródłem funduszy stało się wypuszczenie na rynek nowego gatunku „papierosów: „Olimpi-pias”, o 100% droższych od normalnych. Te 100% idzie na rzecz Komitetu Olimpijskiego. W ciągu pierwszych dwóch tygodni sprzedaży Japończycy nabyli 8 milionów paczek „Olimpi-pias”. Dzięki tym właśnie i wielu innym jeszcze środkom Tokio będzie w stanie przygotować olimpiadę zdolną „cały świat zadziwić”. 24 lata czekała stolica Japonii na tę wielką chwilę. W r. 1940 przeskoczyła wojna, w r. 1960 wy-

ROK przed OLIMPIADĄ



Stadion olimpijski w Tokio

przedził ją Rzym. Teraz nad-szedł moment, by pokazać gościom przybyłym z najdal-szych zakątków świata, że Japonia nie jest krajem księ-zycowych pejzaży, kimon, gejsz i madame Butterfly, lecz ośrodkiem nowoczesnego przemysłu, a Tokio miastem pięknych, ze stali i szkła wznoszonych domów, luksu-sowych hoteli, magazynów, restauracji i teatrów.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej przygotowaniom do przyszłej Olimpiady. W maju br. urządzono gene-ralną próbę maratonu. Aby uniknąć wszelkich ewentual-nych zakłóceń ze strony pu-bliczności 42-kilometrową tra-sę obsadziło 7 tysięcy poli-cjantów, jeden co sześć me-trów. Komitet Olimpijski do-szedł jednak do wniosku, że przy rozgrywaniu właści-wego maratonu należy pod-woić liczbę stróżów porządku. Próbą generalną funk-cjonowania całego systemu or-ganizacyjnego oraz stanu sta-dionów i urzędów sporto-wych są „Igrzyska Przedolim-pijskie” odbywające się z udzia-łem zawodników 30 kraj-ów, w październiku 1963. Problem komunikacji nie jest w Tokio sprawą łatwą ze względu na ponad 10 milionów mieszkańców, niewielką sto-sunkowo liczbę ulic i wy-jątkowo zły stan nawierzchni. Już od roku 100 tysięcy ro-botników dniem i nocą pra-cuje przy remoncie i posze-rzeniu głównych arterii mia-sta. Ponadto buduje się ca-łą sieć autostrad nadziem-nych, dwustrumieniowych, łą-czących lotnisko z centrum miasta i z urządzeniami sportowymi. Autostrady te o-stalowej konstrukcji biegna-ponad rzekami, kanałami i dachami domów, nieczym w jakimś filmie science-fiction. Lotnisko Haneda łączyć bę-dzie ponadto z centrum kole-jka jednotorowa przebywa-jąca trasę 16 km w ciągu 12 minut. Prace nad budową kolejki rozpoczęły się 3 maja br. i ukończone zostaną 1 października 1964 r. 1 paź-

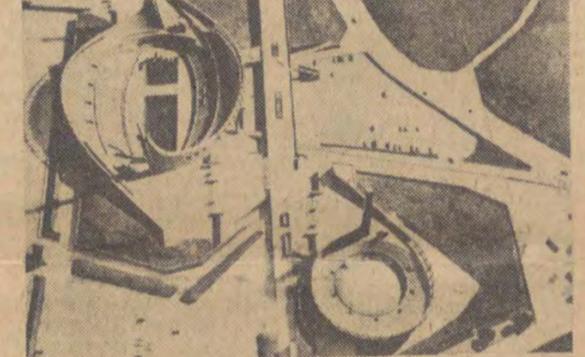
dziernika oddana zostanie do użytku linia kolejowa Tokio — Osaka. Na tej linii długości 630 km skonstruowanej na specjalnym nadziemnym torze kursować będzie najszybszy pociąg świata pędzący z prę-dkością ponad 200 km na godzi-nę. Trasę Tokio — Osaka pociąg ten przejedzie w ciągu trzech godzin. Po-nadto w Tokio buduje się 7 linii kolei podziemnej) co z 5 już istniejącymi da w sumie 12). Prace przy budowie zostały tak zorganizowa-ne by nie zakłócać ruchu ulic-nego, który odbywa się w specjalnych stalowych kon-strukcjach nadziemnych.

Wokół centralnego stadionu przygotowuje się parking mo-gący pomieścić 3.620 samocho-dów, 2 tysiące aut pomieści parking przylegający do świą-tyni Meji. Zaledwie starczy jednak miejsca dla organiza-torów, przedstawicieli prasy, radia, telewizji i filmu oraz wszelkich oficjalnych gości. A gdzie zaparkują swoje wozy szarzy śmiertelnicy — zwykli widzowie? Dla nich nie ma już miejsca. Będą musieli dojeżdżać do stadionu albo kolejką, albo taksówką. Tokio posiada 22 tysiące tak-sówek, a znaczna ich ilość zostanie wypożyczona z są-siednich miast. Wiele hoteli będzie własnymi autokarami transportować swych gości na stadion olimpijski. Władze miasta przewidują napływu 30 tysięcy gości. Gdzie ich ulokować — oto podstawowy problem. Tokio posiada 30 hoteli w stylu eu-ropejskim, które dysponują 6.269 pokojami. Przed olimpia-dą oddany zostanie do użyt-ku Hotel Hilton (500 pokoi i 7 7000 tysięcy zamówień z USA) i 20-piętrowy Hotel Otani (1.500 pokoi). Ponadto rozbud-owie ulegną hotele Akusaka, Prince, Shiba Park, San Ba-neo i Fairmont. Organizatorzy obliczają, że wszystkie te hotele pomiesz-cą około 17 tysięcy turystów. Gospody w stylu japońskim pomieszczą dalsze 3 tysiące, ośrodki młodzieżowe — oko-ło tysiąca, ponad 1000 dzien-nikarzy znajdzie goście w Domu Prasy, a około 1.500 o-sób w domach „prywatnych”. Pozostałe 6.500 turystów za-

mieszka w stawkach zakotwi-czonych przy tokijskich mo-lach i w sąsiednich miejsco-wościach, np. w Yokohamie. Miejsca można rezerwować tylko do końca kwietnia. Kto zatem z naszych Czytelników ma zamiar wybrać się do Ja-ponii, musi się pośpieszyć z decyzją, bo inaczej nie będzie miał gdzie spać. Japońskie Biuro Podróży dysponuje w tej chwili 2.186 wysokokwalifikowanymi prze-wodnikami — tłumaczami.

W okresie olimpiady liczba ich wzrośnie do 4.433. Przy-tłaczająca większość tłumaczy władza językiem angielskim. Różne rozgłośnie radia japoń-skiego poświęcają w tej chwi-li 28 godzin tygodniowo na nauczanie języka angielskie-go. Służba informacyjna aby ułatwić pracę tysięcy dzien-nikarzy akredytowanych przy Olimpiadzie, buduje znakomicie wyposażony Dom Prasy, położony tuż przy centralnym stadionie olimpijskim. Sale konferencyjne, ogromne audy-toria, urzędzenia informacyj-ne, wreszcie pokoje dla dzien-nikarzy, restauracje i bary — oto co znajdzie się w Domu Prasy. Drugi na mniejszą skalę Dom Prasy powstanie w drugim ośrodku olimpijskim, Kamazawa. Wszystkie informacje podawane będą w trzech językach — angielskim, francuskim i japońskim. Konkurencje lekkoatletycz-ne rozgrywane będą na cen-tralnym stadionie Meji, zbu-dowanym w r. 1952 i mogą-cym pomieścić 100 tysięcy wid-zów. (Urządzenia stadionu obejmują 150 pokoi dla masa-rzystów i zawodników oraz sklepy, księgarnie i galerie sztuki dla publiczności). Kon-kurencje gimnastyczne — w tokijskim Pałacu Sportowym (8930 miejsc. Dwa nowoczesne kryte baseny, gościć będą pływaków i zawodów piłki wodnej, konkurencje wioslar-skie rozegrane zostaną na zbudowanym jeszcze w 1940 roku sztucznym jezioro o dl. 2 km i szerokości 90 m. W tej chwili trwają prace nad ukończeniem wielkiego parku sportowego w Komaza-wa. Park ten będzie wyposaż-ony we wszelkie możliwe i

nowoczesne urządzenia dla wszystkich niemal dyscyplin sportowych. Tu też rozgrywać się będzie konkurencje pił-karskie, hokeja na trawie, siatkówki, i szermierki. Boks będzie miał swoją siedzibę w pięknym pałacu Korakuen (5 tys. miejsc). Ceny biletów. Na uroczys-tość otwarcia i zamknięcia Olimpiady — około 23 dola-rów maksimum. Na normal-ne zawody od 90 centów do 9 dolarów. W okresie Olimpiady w Muze um Narodowym i w Metropol-itan Gallery of Art nastąpi otwarcie wyjątkowo interesu-jących wystaw sztuki wschod-niej i współczesnego malar-stwa światowego. Największy nocny klub świata Mikado przygotowuje wielką rewie olimpijską z udziałem najwięk-szych sław kabaretowych, z fantastycznymi dekoracjami i kostiumami, 647 kin tokijskich zapowiadają premiery najświetniejszych i najlepszych filmów, a 67 tysięcy restaura-cji chce uraczyć podniebienia gości najsmaczniejszymi po-trawami naszego globu.



Obiekty sportowe wioski olimpijskiej (model)

Zniesz olimpijski spała 30 kg plynego gazu na godzinę, czyli około 10.800 kg w ciągu 15 dni, czyli tyle, ile wypali-laby pięcioletnia rodzina w okresie 88 lat. Podróż z Gre-cji do Japonii zniesz odbył się samolotem z postojami w każ-dym kraju Azji (Indie i Paki-stan — 2 postoje). Podróż sa-molotem potrwa miesiąc, a drugi miesiąc trwać będzie wędrowka znicza przez Japo-nię do wyspy Kiuszu do To-kiu. Wioska olimpijska, gościć będzie 8 tysięcy zawodników i 1 osób towarzyszących. Położo-na jest w dzielnicy Yoyogi, 2

km od centralnego stacjonu Meji, na terenie ogromnego, bo 900 tysięcy metrów kwad-ratowych liczącego parku zaj-mowanego przez wojska ame-rykańskie. Na obszarze tego parku znajduje się 230 willi, 15 czteropiętrowych budyn-ków, teatr, kościół, klub i szpital. Przewiduje się po-nadto budowę restauracji, ur-zzędów pocztowych, banków, sklepów, sal treningowych i parkingu na 1000 samocho-dów. Wioska strzeżona będzie przez miejską policję. Środ-kiem wewnętrznej komunika-cji będą rowery. Każda dele-gacja otrzyma do dyspozycji auto. Zawodnicy zamieszkają w pokoiach o powierzchni 5 m kw. Koszt mieszkania i utrzymania około 6 dolarów dziennie. Uczestnicy Olimpi-ady wystawieni zostaną na lic-zne i nieące pokusy, albo-wiem wioska olimpijska mie-sci się niedaleko dwóch wiel-kich dzielnic rozrywkowych Shibuya i Shinjuku. Dyrektor American Telepho-ne and Telegraph Company oświadczyła, że prawdopodobnie będzie mogła transmi-tować znaczną część zawodów przy pomocy satelity Telstara. Pozostaje problem czasu. Przy transmisji bezpośredniej kon-kurencji olimpijskich, które rozgrywane są na ogół od 14 do 19 Amerykanie musieli-by wstawać o północy i czuwać przy telewizorach do 5 rano, a Europejczycy mniej więcej od 6 rano do 11. Niektó-re stacje amerykańskie zamie-rzają więc rejestrować trans-misje olimpijskie i nadawać je nieco później. NHK — pań-stwowa stacja telewizyjna japońskiej buduje gigantyczny ośrodek telewizyjny, by umo-żliwić całemu światu asysto-wanie przy Olimpiadzie. W przypadku, gdyby zawiódł Telstar, transmisja odbywałaby się będzie przy pomocy kabli podmorskich.

Op. M. K.

Władysław Rymkiewicz KONFERENCJA u MECENASA

Motywy kompozycyjne „KONFERENCJI U MECENASA” są osnute dokoła autentycznego faktu pewnej awarii i procesu sądowego, będącego rezultatem tej awarii. Tragiczne wydarzenie stało się dla autora postacią podstawą do zbudowania fabuły, której postaci powieściowe są jednak twórami czystej kreacji powieściopisarza i nie należy z nimi wiązać nazwisk osób będących uczestnikami prawdziwego zdarzenia i procesu sądowego.

Mecenas niechętnie i tylko w sprawach mniejszej wagi konferował z klientami w kancelarii Zespołu Adwokackiego, do którego należał z konieczności. Wiedzia-

łem o tym od Leopolda, który znał Falskiego od dawna i uważał się za jego przyjaciela. Ale była to raczej stara znajomość niż przyjaźń, obaj panowie nie mówili sobie po imieniu, lecz zwracali się do siebie z trochę ceremonialną poufałością per Mecenasie i per Dyrektorze.

— Nie wspominaj mu na-wet o Zespole — ostrzegal

mnie szwagier. — Rozmo-wa na ten temat działa na niego jak czerwona płachta na byka. Tę stary przed-wojenny adwokat, który u-waża, że Zespoły są zaprze-czeniem samej istoty wolno-go zawodu. Tłumaczył mi kiedyś, że rozmowa adwo-kata z klientem jest jak spowiedź i powinna odby-wać się w warunkach gwa-rantujących absolutną dy-skrecję, a jego zdaniem, kancelarie w Zespolech nie dają takiej gwarancji.

Pierwsza konferencja od-była się więc w prywatnym mieszkaniu, gdzie przed wojną mieściła się kance-laria adwokacka ojca na-szego rzecznika, Mecenas Witolda Falskiego seniora, szambelana papieskiego. Znałem ten lokal dobrze,

odziedziczonymi po rodzi-cach, a może nawet po dziadkach. Ogromne rogi jelenie, barometr z termometrem w secesyjnym obramowaniu o powyginanych liniach, imi-tujących lodygi i kwiaty, i portreć Wagnera oraz reprodukcja rzeźby Erosa i Psyche w stołowym prze-chodziły z pokolenia na po-kolenie. Potężne kredensidło z wypukłymi rzeźbami potworków i liści w drze-wie, które pociemniało z upływem lat, przypominało monumentalny fronton go-tyckiej katedry i zajmowało prawie połowę ściany wzdłuż której stał jeszcze stółik z bluszczącym samowarem, stojaki z doniczkami kaktu-sów i wypłataną fotel na biegunach. Pozostałą prze-strzeń wypełniał solidny długi, prostokątny stół na pękatych nogach, sześć cięż-kich krytych skórą krze-sel i szafka zegar z wa-gami, którego wahadło z mosiężnym talerzem poru-szało się powoli i statecznie odmierzając z rozwagą czas, przemijający bez widocz-nych wstrząsów w tych ci-nych pokojach, zamieszka-nych niegdyś przez ludzi zamożnych, szanowanych w

całym mieście i uważanych za podpory porządku spo-łecznego. Czekaliśmy z Taborskim w salonie, gdzie wisiał oz-dobny żyrandol osnuty sznu rami kryształowych wislor-ków. Żyrandol przypominał strój koronacyjny carowej Maryny Mniszchówny, gdy przybrana w perły i brylan-ty szła do ślubu z Samoz-wańcem. W rogu salonu sta-ła na wysokim postumencie zakurzona rzeźba głowy Cy-cerona. Skracając sobie czas czekania i przyglądając się nieruchomemu obliczu rym-skiego oratora dokonałem odkrycia: w klasycznych pro-porcjach czoła, nosa i dol-nej części twarzy z piono-rymi bruzdami na policz-kach dostrzegłem uderzają-ce podobieństwo do fizjo-nomii Mecenas. Ta samo podobieństwo upatrywałem w męskim grymasie scep-tycyzmu, zastygłego na gra-

str. 6 **adqtosy**



JERZY WILMAŃSKI

Dzisiaj jest to już fakt bezsporny — oszczędzanie racjonalne, prowadzone w sposób zorganizowany zdobyło sobie prawo obywatelstwa w społeczeństwie. Powszechna Kasa Oszczędności wprowadza zresztą tyle najróżnorodniejszych form oszczędzania, że mamy naprawdę w czym wybierać. Szara ksiąteczka PKO zajęła już stałe miejsce w portfelach i budżetach. Ktoś złośliwy powołał kiedyś, że właśnie ksiąteczkę woli mieć zawsze przy

na ankietę następująco: z Łodzi 28, z województwa 27. O czymś to chyba świadczy, jakkolwiek ankietę przeprowadzona metodą gazetowego kuponu, a więc zdająca się raczej na przypadkowość niż na rości sobie pretensji do wyników par excellence naukowych, socjologicznych.

Jedno jest pewne — z odpowiedzi ankiety wynika niezłobnie, że tradycyjne oszczędzanie do przysłówowej pończochy powoli, ale zdecydowanie zanika. Bódcem do oszczędzania zorganizowanego nie jest jednak maleńkie oprocentowanie czy nawet nadzieja wygrania samochodu, a

urzędnika wkładki klienta obchodzą o tyle, o ile jest to konieczne do wykonania czynności służbowych. A w agencji zakładowej? Tam piatnikiem jest kolega lub koleżanka z pracy.

W ankiecie znalazło się pytanie: „Czy oszczędzasz na z góry określony cel, czy dla zasady”? Ta druga odpowiedź podkreśliła bardzo nieliczną grupę ankietowanych, przeważnie rencistów. Charakterystyczna jest tu wypowiedź: „Zawsze może się coś zdarzyć i parę groszy będzie potrzebna” — czyli ewentualność tak zwanej „czarnej godzinny”. Zdecydowana jednak większość, ponad 90 proc. oszczędza docelowo na pralkę, na telewizor, na wycieczkę zagranicą, czy wreszcie najczęściej na mieszkanie. Ten typ docelowego oszczędzania świadczy również o stabilizacji, o tym, że jesteśmy społeczeństwem na dorobku, ale jest to dorobek oparty o solidne postawy i z wyraźnymi perspektywami.

No i wreszcie sprawa planowania budżetu. Pamięciamy, że na ankiecie odpowiadały kobiety, które z reguły pełnią funkcję „ministra finansów” — tak więc odpowiedzi te mówią o planowanym wydatku w rodzinach. Obraz układa się dość typowo. Planowanie roczne praktycznie nie istnieje, załóżmy 37 kobiet z Łodzi, 27 z miasteczek województwa i 30 ze wsi wypowiedziało się tu pozytywnie. Niewielka jest także liczba kobiet nie planujących wcale: 20 w Łodzi, 26 w miasteczkach województwa, 38 na wsi. Najwięcej natomiast kobiet planuje budżety miesięczne i tygodniowe co jest zjawiskiem zrozumiałym, bo przecież warunkują je terminy pobierania poborów. Tak więc w Łodzi planuje miesięcznie i tygodniowo 450 ankietowanych kobiet, w miasteczkach województwa 436, a na wsi... tu niestety planowanie jest w ogóle mało popularne — 143.

Wnioski są nader proste — planowanie budżetu uzależnione jest od terminów pobierania pensji. Casus wieś potwierdza ten wniosek jeszcze głośnie. Ponieważ brak tam rytmicznych przypływów gotówki — planowanie kuleje. Nie powinno tak być — to oczywiste — i tutaj z pomocą winna przyjść ksiąteczka PKO — która pomoże na cykliczne wydatkowanie złożonych na nią sum.

Jakie wnioski ogólne wysnuć można z ankiety Wojewódzkiego Oddziału PKO? Jakim stwierdzeniem zamknąć ten feleton? No cóż, mimo pewnej przypadkowości w doborze ankietowanych daje ona dość wyraziście obraz. Mówi o społeczeństwie, które może jeszcze nie nauczyć się w pełni realizować hasła „dobrze gospodarować, to oszczędzać”, ale z pewnością, z powodzeniem wprowadza je w życie. A to już dużo i jest to objaw bardzo optymistyczny.

JAN KOPROWSKI

Ludzie i Książki

LITERATURA SKANDYNAWSKA

Od dawna już intryguje nas literatura krajów skandynawskich. Jak to się dzieje, że utwory napisane przez przedstawicieli małych narodów, są tak znane na świecie? Któż bowiem nie zna powieści Knuta Hamsuna, Selmy Lagerlöf, Jensa Jacobsena, Hermanna Banga! Któż nie oglądał sztuki Ibsena i Strindberga, do dziś żywo i wciąż w teatrze wystawianych! Czymże więc wytłumaczyć popularność tej literatury? Języki skandynawskie nie są w świecie znane, kraje te nie odgrywały i nie odgrywają wielkiej roli politycznej, słowem: za literaturą tą nie stoi ani popularny język, ani potęga państwa, które by uczyły jej wsparcia i wzmożyły zainteresowanie pisarzami.

A czym wytłumaczyć brak szerszego zainteresowania literaturą polską? Bądźmy ścisli: w ostatnich czasach znajomość literatury polskiej bardzo w Europie wzrosła. Pojawia się sporo przekładów zarówno klasyków jak i autorów współczesnych, wiele pism poświęciło swoje numery naszemu piśmiennictwu, ale okres ten zaczyna znowu przemijać, na co wielu już zwróciło uwagę. Jedni uważają, że główną przyczyną w spopularyzowaniu literatury polskiej w świecie jest bariera językowa, inni, że kultury małych krajów (a nie jesteśmy przecież potęgą) nie mogą liczyć na trwałą popularność jak sztuka i literatura krajów wielkich.

Hm. Coś w tym rozumowaniu nie gra. Jesli by bowiem argumenty te uznać za słuszne, to jakże wytłumaczyć wspomnianą przez mnie na początku popularność literatury krajów skandynawskich, krajów małych (znaczenie mniejszych niż Polska) i o bardzo wąskim zasięgu terytorialnym ich języka?

Stanisław Cat-Mackiewicz powiedział podczas jednej dyskusji, że pisarzy skandynawskich zaczęli lansować Niemcy w czasie, kiedy sami nie mieli u siebie nic ciekawego i godnego uwagi, i że skandynawska literatura poszła w świat przez Niemcy. Możliwe, że tak było. Mnie się jednak wydaje, że o popularności literatury skandynawskiej zdecydowała przede wszystkim jej odrębność, jej odmiennosć w stosunku do tego, co tworzone we Francji, Anglii i innych krajach. Nie ciekawia

nas książki podobne do naszych, ciekawia nas książki inne, niż nasze. Atrakcyjność literatury skandynawskiej ma swoje źródło, a raczej miała je (bo z tą współczesnością i u nich nietego) w całkowicie odmiennym widzeniu świata, człowieka i przyrody. Jest to literatura surowa, antysentymentalna, dla nas — nieledwie egzotyczna. W tym zapewne należy szukać również źródeł zainteresowania się literaturą rosyjską, która dla czytelnika Europy zachodniej przynosi treści jemu nieznaną, więc już dostatecznie atrakcyjną.

Trzeba sobie zatem postawić pytanie: czy nasza polska literatura jest dostatecznie odrębna, by mogła zainteresować Francuzów, Anglików i Włochów? Czy jej mała atrakcyjność nie leży w tym, że chce się ona (lub chciała) upodobnić do literatury zachodniej? Mówi się, że recepcja literatury polskiej w Europie utrudnia jej specyficzność, polegającą na doryczym narodowym i ciągłym „rozdrapywaniu ran”, co powoduje, że oderwana od kontekstu historycznego i przeniesiona na grunt obcy, staje się niezrozumiała. Ze, krótko mówiąc, jest to literatura zanadto narodowa, a za mało uniwersalna.

Zapewne i ten czynnik odegrał jakąś rolę. Nie wybieraliśmy sobie historii i nie nasza to wina, że przebiegała ona tak, a nie inaczej, że literatura brała na swe wątle barki obowiązek służby narodowej i obywatelskiej w czasie, kiedy nie istniało państwo i nie rozwijało się normalne życie społeczne. Tak czy inaczej jest faktem, że literatura nasza nie osiągnęła tego stopnia znajomości w świecie, co literatura skandynawska.

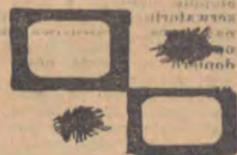
Refleksje te nasunęły mi się podczas czytania powieści Hermanna Banga „Przy drodze”, która właśnie ukazała się na rynku księgarskim w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza. Herman Bang zmarł w 1912 roku, większość jego prac powstała w tym samym mniej więcej czasie, co utwory Stanisława Przybyszewskiego. I cóż! Po Przybyszewskim ani śladu, a Banga wydaje się i czyta, nie tylko w jego rodzinnej Danii. Iwaszkiewicz przetłumaczył tę powieść, powstała w roku 1886, znakomicie. Ale myśli się on,

pisząc w przedmowie, że „powieść „Przy drodze” zjawia się po raz pierwszy w polskim przekładzie w siedemdziesiąt siedem lat po jej wydaniu!” Owszem, była ona tłumaczona przez Józefę Klemensiewiczową i wydana nakładem „Przełomu Tygodniowego” w 1902 roku. Jest to przekład wcale

niezły, chociaż w całości może już nie odpowiada poczuciu naszej dzisiejszej polszczyzny. Jeśli zważyć tak odległą datę powstania „Przy drodze”, wypadnie zdumiewać się świeżością jej formy. Nie ma w niej rozwlekłych opisów, w zwięzłości i oszczędnej narracji bliska jest ona literaturze współczesnej.

Głównymi bohaterami utworów Banga są kobiety. Są to tzw. bohaterki ciche, żyjące w cieniu mężczyzny, cierpiące i niezauważane. Również i bohaterka „Przy drodze, Katinka, żona naczelnika stacji panna Bał, należy do tej grupy cichych, milczących i smutnych kobiet, jakich pełno w literaturze skandynawskiej. Jej marzenia i tęsknoty nigdy się nie spełniają, jej miłość do drugiego człowieka pozostaje całkowicie w sferze westchnień i nadziei. Katinka zejdzie z tego świata równie cicho jak żyła. I tylko na kartach tej powieści pozostanie po niej ślad, jak po czymś zmarłym w życiu, które mogło być tak piękne, a było takie szare.

Wydawnictwo Poznańskie specjalizuje się w publikowaniu dzieł pisarzy skandynawskich. Wcześniej ukazywały się tam utwory Hamsuna, Gjerlunda, Björnsena i Carstena Haucha, którego powieść „Rodzina polska” może naszego czytelnika specjalnie zainte-



resować. Czy wydanie „Przy drodze” ma oznaczać, że przychodzi kolej na Hermanna Banga? Jeśli tak, prosimy o inne utwory tego pisarza, zwłaszcza o „Bezradzkie pokolenie”, w swoim czasie bardzo głośno na kontynencie europejskim. Warto może przy okazji przypomnieć, że w zbiorze szkiców z Danii Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Gniazdo łabędzi” (Iskry, 1962) znajdują się dwa rozdziały poświęcone życiu i utworom Hermanna Banga. Czytelnika który pragnąłby dowiedzieć się czegoś więcej o duńskim pisarzu, odsyłam do tej ciekawej publikacji.

ANKIETA PKO

czyli

1200 „ministrów finansów”

sobie — gotówkę mógłby poehopnie wydać a z podjęciem kwoty są nieraz takie peregrynacje, że albo człowiek się zastanawia albo mu się odechce. Jest w tym nieo co prawdy — Oddział PKO istnieje w 700-tysięcznej Łodzi tylko jeden, z początku była rozmaita, a przecież na 1.000 mieszkańców naszego miasta przypada aż 700 ksiąteczek oszczędnościowych.

Na statystycznego mieszkańca Łodzi przypada 1.567 zł wkładów oszczędnościowych. Oszczędzają dorośli i młodzież, mężczyźni i kobiety... Właśnie. Znacząco anegdotkę o głowie domu? Otóż głowa domu jest mężczyzną, ale kobieta jest szyć, która tą głową kręci. Jak zatem wygląda problem oszczędzania od strony kobiet, od strony domowych „ministrów finansów”?

W swoim czasie Wojewódzki Oddział PKO przeprowadził wśród 1.200 kobiet ankietę na temat form i metod oszczędzania. Wyniki są dość ciekawe i chyba czytelników zainteresują. Według podziału można rzec, terytorialnie, ankietę wygląda następująco: z Łodzi — 446 osób, z miast powiatowych i innych miast województwa — 462 osoby, ze wsi — 290 osób. Podział według wykonywanych zawodów kształtuje się dość typowo. Podstawowe grupy to pracownice umysłowe (148 w Łodzi, 135 w miastach województwa i 67 na wsi) oraz pracownice fizyczne (141 w Łodzi, 158 w miastach województwa i 140 na wsi). Następne grupy zawodowe (inżynierowie, lekarze, nauczycielki, gospodynie domowe itp.) nie przekraczają z reguły liczby 50 osób. Charakterystyczne jest wszakże jedno — nader niki procent oszczędzających wśród tak zwanej inteligencji technicznej. Przedstawicielki tej grupy zawodowej odpowiadały

po prostu zwykłą pewnością, że pieniądze lokowane w państwowej placówce są tam bezpieczne. Czyli poczucie stabilizacji, czyli zaufanie, pewność stabilności naszego systemu. Różnie z tym było przed laty, dlatego cieszy dziś takie stanowisko.

Ale do rzeczy. Na 1.200 odpowiedzi znalazło się jednak parę mówiących o oszczędzaniu do pończochy. Oto liczby: z Łodzi 3 pracownice umysłowe, 10 fizycznych, 5 gospodyń domowych, z województwa 4 pracownice umysłowe, 7 fizycznych, 2 gospodynie domowe. Ze wsi 5 pracownice umysłowych, 18 fizycznych. Ogółem oszczędzających w anachroniczny sposób znalazło się raptem niewiele ponad pół setki.

Dział odpowiedzi mówiących o miejscu dokonywania operacji jest dość ciekawy i powinien nasunąć dyrekty. Wojewódzkiego Oddziału wiele wniosków. Otóż zarówno w Łodzi, jak i miastach województwa klientki wolać dokonywać wpłat i pobierać pieniądze albo w Oddziale PKO, albo w Urzędzie Pocztowym. Agencje zakładowe natomiast popularnością się nie cieszą. W Łodzi załóżmy 158 kobiet z nich korzysta, podczas gdy w 13 terenowych ekspozyturach PKO na terenie województwa dokonuje operacji prawie dwa razy tyle, a z jednego Oddziału Wojewódzkiego przy Al. Kościuszki korzysta 346 ankietowanych. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że agencje zakładowe są przede wszystkim na miejscu, niejako pod ręką, a do Oddziału i Ekspozytur trzeba specjalnie iść czy jechać i niejednokrotnie wycieczki w kolejce — taka postawa może się wydać niezrozumiała. Ale tylko pozornie. Otóż do urzędnika w okienku PKO czy urzędu pocztowego klient ma zaufanie — nie zna się, nie mają wspólnych znajomych,

portierami z ciężkiego materiału bordo, przeszczało się skąpo światło, jakby przyćmione przez szczytową ścianą sąsiedniej kamienicy. Ogromna gdańska czarna szafa biblioteczna, wypełniona rządami kodeksów, broszur wanych orzeczeń sądowych i zwalichy tomów „Dziennika Ustaw”, oraz potężne biurko, na którym wznosił się solidny ekrytur z pościemniatego srebra z nieosiadłym koniem ze wzniesionymi dwiema przednimi nogami, jak gdyby szykującym się do skoku, pogłębiały wrażenie lokalu odosobnionego i zacisznego, gdzie spokojnie i beznamietnie, z dala od gwaru ulicznego można roztrząsać skomplikowane spory i analizować zawile kwestie prawne.

Przyznawałem w duchu rację mecenasowi, że w jego adwokackim gabinecie nastrój poufności i bezpieczeństwa może sprzyjać zwierzeniom klienta, który dla dobra sprawy powinien wyznać swemu obrońcy całą prawdę, i chyba jak każdy, kto przekroczył próg tego pokoju i z pierwszego rzutu oka sądził po jego

zewnętrznym wyglądem, uległemu złudzeniu emanujące z tego dobrze umeblowanego wnętrza atmosfery zamkniętości i dobrobytu. Dopiero gdy się już rozsiadłem w krytym brązową w tartą skórą fotelu klubowym i musnąłem pobieżnie wzrokiem stolik z masyzną do pisania, szafkę z żaluzjowym zamknięciem, jakieś etażerki uginające się pod ciężarem kartonowych bbiwol z aktami obrońcy mi i fotografię jubileuszową ze szkłem na ścianach, rzeczy, które uzupełniały inwentarz kancelarii wzięte go (jak się dawniej mówiło) adwokata przysięgłego i głośnego obrońcy w sensacyjnych procesach karnych, i gdy się przyjrzałem dokładnie szafie bibliotecznej, portierom i tapetom, dopiero wtedy przekonałem się, że urządzenie gabinetu trąciło nie tylko staroświecznością, lecz również jakąś dawną pozorną świeżością, blichtrzem, i że meble były poobtukiwane, portier — przetarte, franki — cerowane, tapety — wypłowiałe, dywan — w paru miejscach wypalony, a na biurku leżała warstewka kurzu.

Opisałem szczegółowo mie

szkanie Falskich z matowymi szybami w drzwiach i wszelkimi wygodami (łazienka, wygodka zamykana na haczyk, pawłacz), gdyż było ono dla mnie obrazem miejsca, w którym czas jak gdyby zatrzymał się i odsunął swe piętrzo nie tylko na meblach lecz i na lokatorach w osobie starego kawalera, adwokata dawnego typu, jakim był mecenas Falski junior, i w osobach jego dwóch sióstr (po wpuszczeniu klienta przez starą służącą, w szparach uchylonych drzwi dźwięku przedpokojem ukazywały się trzęsące się siwe głowy starszerek, które znikały szybko, spłoszone widokiem przybysza) spłowiących, zakurzonych dam, ary stokratycznych pań, z których jedna była wdowa, zaś druga — nierozwiedzioną żoną dyplomowanego pułkownika na emigracji w Londynie. Takie duże kosztowne mieszkania, zajmowane przez jedną rodzinę, należały raczej do wyjątków. Ludzie przenosili się do nowoczesnych bloków za miastem, w których zajmowali dwu-trzypokojowe lokale o niewielkiej przestrzeni mieszkalnej ograni-

zonej przepisami kwaterekowymi, zaś ci, którzy pozostali w śródmieściu, ko rzystali z przydzielonych im części mieszkania, rozparcelowanego pomiędzy dwie lub trzy rodziny.

Mecenas należał do Zespołu Adwokackiego, lecz za głów ny teren konsultacyjny swej działalności zawodowej uważał prywatny gabinet, po którym przechadzał się podpierając się pa miatkową laską, potrzysując lwią grzywą siwych włosów i polemizując względnie wykładając swój punkt widzenia grzmiącym stentorowym głosem, który przez drzwi z matowymi szybkami docierał do najdalszych zakamarków i schowków zakurzonego mieszkania.



nyci gorzkiego uśmiechu. Tylko uczesanie było inne. Wijące się kosmyki włosów Rzymianina, między którymi leżały warstewki kurzu, układały się w sposób naturalny, gładko, podczas, gdy mecenas nosił bujną rozwichrzoną siwą czuprynę. Nad krzesłami i fotelami w pasiastych pokrowcach unosił się zapach, podobny do dusznej atmosfery zachowawca, gdzie przechowuje się w koszu brudną bieliznę do prania. W mieszkaniu panowała cisza. Mecenas wystawiał naszą cierpliwość na próbę. Podejrzewałem, że jesteśmy ofiarami mitu w tym sensie, że Falski usiłował stworzyć pozory powodzenia i zasugerować nam, że nie my jedni jesteśmy dziś jego klientami, że jeszcze konferuje z jakimś innym interesantem, i dlatego każde nam czekać. Ale w gabinecie nie było chyba nikogo, bo nie słyszałem przez drzwi grzmiącego głosu naszego obrońcy. Wybaczałem mu jednak tę komedię rozumiejąc zaenowanie, jakiego mógł doświadczać z powodu braku klientów w kancelarii, która przed wojną cieszyła się

odgłosy TYGODNIA

informacje i zapiski

W ubiegłym tygodniu odbyła się w Komitecie Łódzkiej PZPR środowiskowa narada pracowników kultury, prasy, radia i TV poświęcona omówieniu realizacji zadań wykonujących z uchwał XIII Plenum KC partii. W naradzie wzięli udział sekretarz KC, kierownik Wydziału Prasy KC PZPR, tow. Artur Starewicz. Obradom przewodniczyła tow. Michałina Tatarakowa-Majkowska, i sekretarz KL PZPR, Referat „Główne kierunki pracy ideologicznej w środowiskach twórczych, prasy, radia i TV” wygłosił sekretarz KL tow. Hieronim Rejnak.

Tłaczny artystyczny ze zbiorów Łódzkiego Muzeum Historii Wiśniewicza podjął w podróz aż do dalekiego Wietnamu. Prawdopodobnie w listopadzie otwarta tam zostanie wystawa polskiego rękodzieła artystycznego. Czas trwania wystawy, która eksponowana będzie w wielu ośrodkach, przewiduje się na dwaście miesięcy.

Łódzki Dom Książki zorganizował niedawno w swojej sali wystawę przy ul. Piotrkowskiej 5 kiermasz „Książek przeciwnych. Wbrew pozorom nie było to wyprzedzie „cegieł”, którym groził przemysł. Zresztą pojęcie księgarskich „bubli” jest dość elastyczne. W każdym bądź razie na kiermaszu znalazło się wiele ciekawych pozycji ze wszystkich dziedzin literatury po cenę obniżonej o 50 proc.

Parę dni temu w dzielnicy Śródmieście powstało koło Stowarzyszenia „Trzeźwość”. Podobne koła istnieją już w Łodzi na Polesiu i Górnej. Nowo utworzona placówka dysponuje klubem, w którym zamierza organizować atrakcyjne spotkania z aktorami i pisarzami, urządzać wieczorki towarzyskie — słowem prowadzić działalność kulturalno-oświatową. Zainteresowanym podajemy adres: Traugutta 5, L. P.

Ostatnio Rada Państwa powołała na stanowiska profesorów zwyczajnych i nadzwyczajnych 38 naukowców. Wśród powołanych na stanowiska profesorów zwyczajnych znalazło się 3 docentów z Politechniki Łódzkiej. Są to: docent Zbigniew Korneberger, docent Jerzy Kroh oraz docent Władysław Kuczyński.

Około 700 dzieci rozpoczęło już naukę w zduniskowskiej Tysiąclacie. Jest ona 700 w skali kraju szkołą Tysiąclacie właśnie sioną ze składek społeczeństwa. Uroczystość otwarcia szkoły dokonał marszałek Sejmu PRL Czesław Wycech. Szkoła posiada 15 izb lekcyjnych, 3 pracownie, salę gimnastyczną, 2 gabinety lekarskie, bibliotekę, czytelnię, świetlicę oraz szatnię. Sale lekcyjne zlokalizowano w południowej części kompleksu zabudowy. Koszt budowy zduniskowskiej Tysiąclacie wyniósł ponad 10 milionów złotych.

W Łódzkiej kombinacie gastronomicznym „Balaton” zwanym przez złośliwych barmem żółtwej obsługi, przeprowadzono ostatnio pewne badania. Otóż stwierdzono, że w godzinach nasilenia ruchu konsumenci czekają na posilką okolicę. Godziny „Balaton” reklamowany jest jako... bar szybkiej obsługi. Czego to ludzie nie wymyślą dla reklamy.

J. W.

PASJA

Eksport stał się narodową pasją. Pracują na eksport wielkie zakłady przemysłowe i małe fabryczki, spółdzielnie pracy i zrzeszenia rolnicze, ba, nawet dzieła sztuki tworzy się „pod” zainteresowania ewentualnego zagranicznego nabywcy (np. filmy). Propaganda potrzeby eksportu zrobiła swoje. Pasja ta, od kilku lat, powoli ale skutecznie, opanowuje również jednostki. Wiadomo np., że do Jugosławii tylko głupcy i apoleczne typy, nie zabierają aparatów fotograficznych, że w NRD prosto wstąpił pokazać się bez „Carmenów” i że moskwi czanki wprost przepadają za polskimi wyrobami dzianinami. Czy wobec tego wypada abyśmy zawiedli zaufanie jakim darzą nas przyjaciele? Przemyśle!

Ostatnio coraz śmielej „wchodzi” również na zagraniczne rynki nowe towary w postaci polskich monet. Nie wiadomo, kto jest odkrywca tej nowej „złotej żyły” polskiego eksportu, faktem jest jednak, że...

We wszystkich miastach Nie mieckiej Republiki Demokratycznej można nabyć w automatach najprzeróżniejsze towary. Począwszy od środków antykonceptyjnych do błon fotograficznych firmy „Agfa” włącznie. Wystarczy wrzucić do maszyny 2 marki, naciśnąć guzik i wyskakuje film plus 70 fenigów reszty. Rzecz, okazała się genialnie prosta z chwila, kiedy pierwszy Polak stwierdził, że 2 marki i 2 złote ani pod względem wagi, ani rozmiaru się nie różnią. Odtąd rozpoczął się eksport monet dwuzłotowych. Interes kwintnie!

Ale Niemcy, akurat nie reflektują na polskie monety. Wobec tego, na niektórych automatach zawieszili uprzejmie napisy treści następującej: „Do przyjaciół Polaków! Bardzo prosimy o niewzrucanie do automatu innych monet po za tymi, które posiadają moc nabywczą obowiązującą w NRD”.

Napisy zredagowane w języku polskim, aby miejscowa ludność nie mogła stwierdzić z jakimi genialnymi handlowcami ma przyjemność obcować.

(jef)

RADZIECCY GOŚCIE

Znana jest na terenie naszego województwa działalność kulturalna Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej. W ciągu ostatnich czterech lat zorganizował on w miastach i miasteczkach Ziemi Łódzkiej dziesiątki imprez artystycznych, które obejrzało kilkadziesiąt tysięcy widzów. Z inicjatywy ZW TPP-R występował w naszym województwie zespół estradowy północnej grupy wojsk radzieckich w Legnicy, z tej też inicjatywy zaproszono ostatnio na cykl koncertów w 17 miejscowościach województwa, zespół solistów Teatru Opery i Baletu z Nowosybirsk.

Teatr ten znany w całym Związku Radzieckim cieszył się niezwykłą popularnością i wśród polskiej publiczności. Szczególnie oklaskiwano Jurija Magalifa, dziennikarza z Nowosybirskiej TV, który prowadził konferansjerkę w języku polskim i świetnie recytował wiersze Gajczyńskiego. Podobal się także taneczny duet — a trzeba wiedzieć, że balet z Nowosybirskiej Opery stawiany jest na trzecim miejscu w ZSRR — zaraz po baletach z Moskwy i Leningradu.

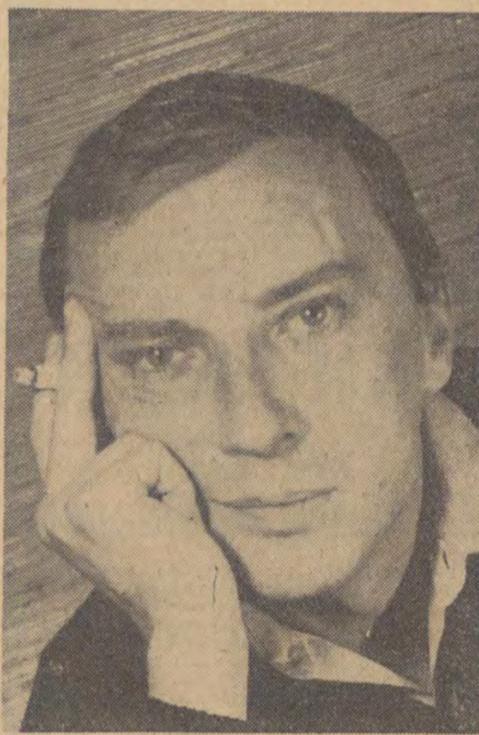
Radzieccy artyści zdradzili nam pewną miłą dla zespołu informację. Otóż Ministerstwo Kultury Związku Radzieckiego zamierza nadać Teatrowi Opery i Baletu z Nowosybirsk tytuł Teatru Akademickiego, co jest najwyższą rangą i odznaczeniem dla zawodowych zespołów Kraju Rad. Publiczność woj. łódzkiego i Łodzi (zespół występował w sali MDK w dniu 17 października) miała okazję przekonać się jak bardzo radzieccy artyści na takie wysokie wyróżnienie zasługują.

To naprawdę bardzo dobrze, że polski widz mógł się zapoznać ze sztuką radzieckich artystów z dalekiej Syberii, gdzie jak mówi ludowe porzekadło „100 km nie odległość, a 30 stopni mrozu nie zima” — sztuką pełną czaru i muzyki.



SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

KRZYSZTOF CHAMIEC



Tak niedawno — rok temu zaledwie — dał się poznać łódzkiej publiczności, a już stał się jednym z jej ulubieńców. Zaczął świetną nagrodzoną później na Kalskich Spotkaniach Teatralnych — rolą w „Orfeuszu w wężowej skórze”, potem znakomicie zagrał Oktawiana Cezara w „Antoniuszu i Kleopatrze”, następnie przyszedł ciekawie, nietrudno pomyślany Zbyszko w „Moralności pani Dulskiej”, kapitan Straszewicz w „Jutro Berlin”, Platyna w „Malateście”...

I chociaż Krzysztof Chamiec przeniósł się do Łodzi już z opinią wybitnego aktora, to pięć ról na scenie Teatru im. Jaracza zagrał, zapracowałoby na nią nawet wówczas, gdyby był tylko debiutantem.

Tekst i zdjęcie
GERARD PUCIATO

„Estrada” - jakiej nie znamy

W chwili obecnej Estrada Łódzka posiada dwie ekipy etatowe — jedna z programem, którym zdobyła pierwsze miejsce na Festiwalu Zespołów Estradowych w Warszawie „Tele-For-Tele”, po sukcesach na terenie całego kraju wyjeżdża obecnie na Węgry, a w styczniu prawdopodobnie do NRD. Druga — kontynuując po znacznych przeróbkach znany już chyba widzom program „Od walca do R'n Rolla”. Aby wzbogacić działalność planują angażować się również zespoły kontraktowe związane z Estradą, tylko okresowo. Czołowym takim zespołem jest „Marimba”, rzadki w Polsce zespół gitar hawajskich, ich programem „Błękitne Hawaje” zainteresowano się już w NRD i w Finlandii.

Z programów przeznaczonych raczej dla mniejszych miejscowości wyróżnić warto imprezę o charakterze czysto rozrywkowym „Cocktail humoru i piosenki”. W dalszym ciągu kontynuowana jest akcja imprez szkolnych — duży jednak nacisk położono na podniesienie ich poziomu i zapewnienie dobrego wykonania. Najczęściej chyba zastrzeżeń budziły dotychczas okolicznościowe „części artystyczne” uświetniające akademie a nawet zwykłe uroczystości szkolne. Okazało się rychło, że nie można tu winić wy-

łącznie Estrady. Działala przecież i działa nawet teraz spora ilość dzieł zespołów podzywających się również i pod szyld Estrady. Dzięki zdecydowanej akcji, drogą zaostreżenia przepisów finansowych udało się w dużej mierze zlikwidować ich działalność. Dzielnią chyba najbardziej znaną łódzkiemu widzowi są masowe imprezy przeprowadzane na zlecenie PAgARTu. Tu jednak małe „ale” — zespoły trzeba wybierać „w ciemno” często nie orientując się w programie i poziomie zespołu i jego solistów. Bowiem PAgART nie zawsze stara się o zebranie odpowiednich informacji.

Nieco inną dziedziną działalności jest obsługa uszłakiego rodzaju pokazów mody, okazujących kiersmaszy, sprzedaży itp. Rzecz przecież nie taka znowu łatwa. Od ucieleśnienia reklamy zależy przecież wiele, a przedsiębiorstwa zalecające taką imprezę stawiają przecież coraz wyższe wymagania.

Małkonienom — narzekającym, że Estrada Łódzka nie robi, tylko zbija pieniądze, przedstawicieli można cytować: w 1982 roku na przykład zorganizowano i obsłużono 2589 imprez, które obejrzało 871.266 widzów. To chyba niemało, zważywszy że personel administracyjny jest

jednym z najmniejszych w Polsce (liczy tylko 12 osób) i pracuje w nieodpowiednich warunkach, że Estrada nie ma sali prób (walka o taki lokal toczy się chyba od samego powstania Estrady Łódzkiej — jak dotąd niestety — bezskutecznie)

KLUB OFICERÓW REZERWY

W sobotę dnia 12 października w XX rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego otwarto w dzielnicy Bałuty przy ulicy Hipoteecznej kolejny w Łodzi Klub Oficerów Rezerwy.

Na bardzo miłej uroczystości otwarcia spotkało się wielu byłych wojskowych. Obecni byli również i sekretarz KD PZPR Czesław Karbowski i przewodniczący Prez. DRN Zygmunt Sikorski. W przemówieniu powitałmy prezesa klubu, Marian Kwapisz dziękując w imieniu dzielnicy i dyrektorom zakładów pracy usytuowanych na Bałutach za wydajną pomoc w uzyskaniu lokalu i urządzeniu klubu.

Wśród wielu założycieli programowych jakie stają przed klubem — trzeba wymienić choćby szkolenie oficerów o derwanach obecnie od pracy wojskowej, zapoznanie ich z nowinami w organizacji, technice i sprzęcie. Klub organizował będzie także wiele imprez, wycieczek do jednostek wojskowych i muzeów. Jednym z ważniejszych zadań jest wytworzenie więzi wśród oficerów rezerwy i wzajemna pomoc. Warto dodać, że młody klub liczy już sobie około 120 członków.

HISTORIA PEWNEGO KORKA

Przybył do nas z daleka, gdzieś z okolic Morza Śródziemnego. Chciał zrobić karierę naukową w pracowni fizycznej, ale że był potrzebny i na innym odcinku — szczególnie zamknął butelkę podłego „sikacza”. Wari był wtedy „pi razy oko” 275 zł za kilogram.

Po kilku tygodniach wprawna dłoń brutalnie „odbiła fiaczkę” i przeczłonie schowała korek do kieszeni. Ze dłoń była pracownia wkrótce zebrała bliźniaczych koreków około tysiąca, co stanowiło bity kilogram.

Dłoń nie należała do zbieracza hobbisty, więc złożyła imponujący zbiór na ladzie Zbiornicy Przemysłowych Surowców Włóknistych, gdzie kilogram korka oceniono na zł polskich 2 gr 96. Słusznie uważając, że żeń kpił zbieracz korki postąpił do diabła.

Za taką cenę zbierać oczywiście nie warto. Czy jednak warto tak drogi surowiec używać tylko raz?

TADEUSZ PAPIER

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95, Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12
Redakcja nie zamawia reprintsów i nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Istnieje także PUPIK „Ruch” — z zamieszczeniem w „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17.

7 am. 3185. X 63, K-4

SŁOWO O BYŁYM BANDOSIE

Dokończenie ze str. 2

ta skarga wypowiedziana głosem jednostajnym czyniła na słuchaczy niesamowite wrażenie. Gdy mu teraz przypomniałem te leśne echa zagadnął mnie — a dalszy ciąg pamiętasz? — Kiedyż ustanie skarga żenców, lecąca po rannych rosach z pokoleń na pokolenie? Kiedyż się żenicy polscy z miłością nachylą ku zbożu dostalemu i kiedyż szerokim zamachem potęgi zagarną pokos trawy sumiającej — nie mój, ani twój, ale nasz ojczysty?..

Zabrzmiały w tym wersecie inne tony niż wówczas w 1944, kiedy po raz pierwszy usłyszałem ten jak mówili słuchacze, wiersz — powiedz nam wiersz — w ten sposób go zachęcał do deklamacji. A „Słowa o bandosie” mogli słuchać bez przerwy. W dalszym ciągu brzmiały w jego głosie i gorczył i ironia, ale jakaś inna gorczył i ironia, jakby opowiadał o chorobie, którą kiedyś przeszedł i którą wspomina się z bólem, ale jednocześnie z uczuciem dyskretnego triumfu, że się ją przezwyciężyło, i że się ma na nią skuteczne lekarstwo. No bo istotnie, w tamtych latach „Słowo o bandosie” musiało mieć inny wydźwięk, ilustrowało jego sytuację jak najwierniej. Kiedy powrócił po ofensy-

wie 1945 roku do wsi, na miejscu domu zastał zgłiszczoną („Ze wsi ucieka ostatni, towarzyszy schroniska ludzkiego — wróbel. W innej okolicy wynosi się opuszczonego pies”) i pole zaminowane, siostry i bracia czekających na podział tego pola. Rozejrzał się po świecie, przyjechał tutaj do Stegienki i już pozostał. Tutaj też go odnalezione, przekazano uroczystie Krzyż Grunwaldu, który zawiesił na ścianie. Jeszcze ta ziemia dymiała po niedawnej ofensywie z frontu białoruskiego, jeszcze niektóre miasta stały w ruinach, jeszcze po lasach ukrywali się dezertery i bandyci, a nowi osadnicy przyjeżdżali tutaj, budowali się. No więc on należał do tych, którzy z opustoszałych gospodarstw potrafili uczynić kwitnące, którzy z ruin wznosili domy, którzy ożywiłi pustkowią, i którzy, niech mi wolno będzie tak ocenić, rozumieli nowe czasy. — Albo też — poprawił mnie — uczyli się rozumieć. — Przytaknąłem. Spodziewałem się, że mi powie więcej na ten temat, bo ta deklamacja „Słowa” (do której wciąż wracał w przerwach naszej rozmowy) i nie zawiodłem się, mówił dalej — ziemni mam tutaj siedem hektarów, w tym około trzech ha łąki, a tam (nie powiedział „u nas”) może wpa-

dła by mi morga. Docho- waliśmy się trzech krów, codziennie sprzedajemy do zlewni w Jantarze trzy banie mleka. Hoduję świnię. Można więc powiedzieć, że z ziemi mam mleko, miód, mięso. W domu widziałem mój telewizor. Starszemu synowi kupiłem Jawę. Młodszy uczy się w Gdańsku w Technikum Ekonomicznym. Zawsze chodził do Gdańska. Żona chodzi na kursy przy Kole Gospodyń. Ale wiesz przecież równie dobrze jak ja, że nie chodzi o to, że tu mam siedem hektarów, a tam czekała na mnie dola bandosa (mówił: „przykucnięta w brudzie, półrośd szerniałej ziemniaczanej naci... na wąskim wygonie, między owsem a żytkiem...). Wiesz, o co mi chodzi. Każdy, kto do mnie przyjedzie, powiada, że mi jest dobrze. — Jest ci dobrze — powtórzyłem za nim. Zacytowałem końcowy fragment „Słowa o bandosie”, że ojczyzna pokłoni się kiedyś do stóp czarnego wyzyskiwanego człowieka, wprawdzie nie ta ojczyzna, na którą czekał Żeromski i bandosi z Kieleckiego, Białostockiego i Łódzkiego.

Rokrocznie około 900 tysięcy turystów przemierza Warmię i Mazury, rozkłada białki nad jeziorami, w la-

sach, odwiedza ruiny starych zamków. Należą do tej kategorii turystów, którzy podziwiają i krajobrazy mazurskie, i jeziora, i stare zamki, i starych ludzi, którzy w swoich domach przechowują jeszcze wyblakłe egzemplarze kancjanatu Wasiańskiego. Ale przede wszystkim odwiedzam tych, którzy na tej ziemi osiedlili się zaraz po wojnie — rodzinę Bryków ze Stegienki, i braci Brykowej ze Stegny, którzy są rybakami, i rodzinę Hetków z Nowej Cerkwi i dziesiątki innych rodzin, którzy już wrosli w tę ziemię i związali się z morzem. Ludzi, którym jeśli się lepiej powodzi, to nie tylko dzięki własnej zaradności, ale przede wszystkim dzięki nowym układom gospodarczym i społecznym. Dzięki powiązaniu ich gospodarstw z socjalistycznym miastem, z siecią spółdzielczą, dzięki kółkom rolniczym, tego rzeczywistego ruchu społecznego, który wyzwala inicjatywę, pozwala na kulturowanie wartości zawodu rolnika, byłych bandosów łaknących chleba i soli przemienia w świadomych obywateli nowej socjalistycznej Ojczyzny.